WACŁAW

NORSZTYN

CZYLI

ŁZA NIE GINIE DARMO.

WACŁAW
NORSZTYN

CZYLI

ŁZA NIE GINIE DARMO,

POWIEŚĆ NARODOWA

Z XVIII. WIEKU.

PRZEZ

KAROLA OSTAPOWICZA.

TOM II.

Dowgwiłłowiczowie

WILNO

W DRUKARNI A. DWORCA.

1841.

A. 5977/2

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. — Wilno 1841 roku 9 Augusta.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego

JAN WASZKIEWICZ.

P. 1054/55/8

Dowgiałłowiczowi

I.

Dni kilka już minęło od tego wieczora, w którym Jadwiga usłyszała tak nieodzownie spełnić się mającą wolę swego ojca; i zdawało się że bez najmniejszego szemrania, owszem z uciechą była gotową zespolić swój los z losem młodzieńca, z którym od lat dziecinnych aż do czasu jéj wyjazdu do Paryża, razem prawie zostawała; a którego ojciec jéj za małżonka przeznaczył.

W jedną noc, a noc była spokojna: bo ledziuchny wietrzyk płynący korytem Wilii, tylko co wstrząsał młodémi drzew gałązkami; księżyc w pełni rzucał światły odblask na kwiaty i liście, na których, jaśniejące bogate z rosy perły, odbi-

jały i łamały tysiącem kolorów promienie: odblask ten rozlał się także po falach, rozpływał się pręgami na wszystkie strony, rozdrabiał się na niezliczone połukręgi, i rozścielał daleko po modrawéj płaszczyznie srebrne iskierki. Gdzie niegdzie zlekka kołysały się czerniejące łódki, i wiosło podniesione ręką flisa błyśnie twarzą księżyca nad powierzchnią wody. W mieście gwar i turkot powozów zdawał się coraz bardziéj wolnieć, ucichać; tylko z okien kilku pobliższych domów, płynęły spokojne śpiewy niewieściemi nucone usty.

Jadwiga wyszła do ogrodu i między gęstwą drzew, otulona salopą, to nagłym to wolnym przechadzała się krokiem; i snać zniecierpliwiona długiém na kogoś oczekiwaniem najlżéjszemu przysłuchiwała się pilnie szelestowi: wreszcie weszła do altany, zrzuciła salopę a wychodząc spotkała Henryka.

— Ach! Henryk! krzyknęła, sam! o téj porze!

— Nie jestem sam Jadwigo, odpowiedział zwolna, jestem przy tobie.

— Czyż spodziewałeś się mnie zastać?

— Spodziewałem się; tylko zawsze uważałem, iż lękasz się sama o nocnéj dobie błądzić po ogrodzie, a dzisiaj.....

Nagle urwał mowę, i zapuszczał swój wzrok w gęstwinę drzew: późniéj zwolna spójrzał na Jadwigę, a z silnego twarzy poruszenia, widać było, iż w jego duszy straszne knuły się zamiary. Jadwiga także milcząca spójrzała nań badawczém okiem, chcąc przedrzeć się aż w środek jego serca, i przéjrzeć się jak w zwierciedle; lecz Henryk nagle przybrał na ten raz, spokojność na twarzy, wyrażającą iż żadna myśl czarna nie mąciła jego duszy. Jadwiga czas jakiś jeszcze patrzyła; nakoniec uklękła przed nim, złożyła ręce i oczyma zdawała się błagać o litość dla siebie.

Henryk przeląkł się, krzyknął przestraszony, i rzucił się ku klęczącéj, ze złożonemi rękami, pięknéj Jadwidze.

— Henryku! przyjacielu! zawołała, o jedną cię błagam łaskę!

— Jadwigo! droga Jadwigo! nie męcz mnie

dłużéj! powstań! ja na wszystko poświęcę się dla ciebie!

—Nie! nie Henryku! rzekła nieruszając się, przysięgnij mi na miłość twą ku ojczyznie, na miłość jaką masz dla swego ojca, że uczynisz to, o co cię prosić będę!

— Przysięgam! przysięgam! wykrzyknął w zapale, a dreszcz śmiertelny nagle przeniknął wszystkie jego członki; zdrętwiałe nogi chwiać się poczęły; lecz Jadwiga lekko zeskoczyła i podtrzymała go już kłoniącego się.

— Henryku! drogi Henryku! mówiła biorąc go za rękę; Jadwiga prosi cię tylko o jedno milczenie.

— Mów, mów! odpowiedział stanowczo, przysięgłem!

— Jam cię kochała; mówiła z płaczem, i dzisiaj cię kocham; lecz wierz mi Henryku, że ta miłość była i jest tak czystą i niewinną, jaką jest miłość siostry dla brata. Pewnie to zauważałeś iż gdym powróciła z Paryża, serce moje już pozyskał był Wacław; kocham go! i nic w świecie nas rozłączyć nie zdoła! Ojca

mojego zupełnie inna jest wola; lecz nigdy mu nie będę mogła zostać posłuszną. Henryku! wiém że kochasz mnie; ja zaś nie jestem stworzona dla ciebie! twoją żoną zostać nigdy nie mogę, i nikt prócz Wacława nie otrzyma méj ręki!..... Nie chciałam ci nigdy tego wyjawić; ale dzisiaj! dzisiaj! sam stałeś się do tego powodem! śledzisz moje kroki; nie kryję więc przed tobą iż dzisiaj z Wacławem ułożyłam się potajemnie ujść z domu mojego ojca; i żadnéj pomocy od ciebie nie błagam, prócz jednego tylko milczenia!..... milczenia do jutra! Henryku! tylko do jutra.

— Do jutra? zapytał zimno w roztargnieniu; dobrze! i po jutrze!..... i zawsze!.... wieczne milczenie!

— Więc się gniewasz na mnie Henryku? powie z boleścią.

— Nie, za cóż? taki jest wybor twego serca; odpowiedział ponuro; ja milczeć będę!..... dobrze!..... i pojutrze!..... i zawsze!..... wieczne milczenie!

— Jaka piękna noc! odezwała się po chwili;

Henryku! dzisiaj jadę; dajże mi rękę, przejdziemy się jeszcze po ogrodzie.

Henryk zadrżał; spójrzał na nią oczyma pełnemi niezwykłego wyrazu; lecz nagle wzrok swój ułagodził, spuścił ku ziemi, i drżącą ręką tarł niespokojne czoło.

On pojmował dokładnie jak go nadzieja oszukała; ubóstwiał ją, i był kiedyś kochanym, dzisiaj zdradzony; wstydził się dla tego powziętego ku niéj przywiązania; gorzkie mu były wspomnienia przeszłości; dzisiéjszy wieczór wszystko zniszczył.

— Czyś chory? zapytała trwożliwie.

— Nie! nic mi nie jest..... nic!..... tak!..... gorąco mi cokolwiek.

— Dla czegożeś tak smutny Henryku? Ty mnie jeszcze kochasz, ja wiém! nie powinieneś więc złorzeczyć szczęściu: sam tylko zauważ.....

— Tyle jest niepomyślności na świecie, przerwał z goryczą, iż rzadko kiedy człowiek przez własną swą biédę, ma sposobność zatrudniać się porównaniem szczęścia drugich.

— Henryku! ty niesprawiedliwy! ty okrótny!..... Za cóż zdradzasz tę która z pełną na ciebie poległa nadzieją, a któréj wszystko przyrzekłeś!..... Dobij, dobij tę! która widzi w tobie brata i która dla ciebie przywiązanie czułéj zachowała statecznie siostry!

Oparła się o drzewo i twarz zalaną łez potokiem, zakryła rękami.

Słowa Jadwigi jakby gromem poraziły Henryka, i oświeciły mu drogę którą sama miłość wskazywała. On nie młodzieńcem upojonym namiętnościami, lecz mężem twardym się okazał; mężem, który nigdy nie zdradził położonego w sobie zaufania, i chociaż na gruzach swojego szczęścia, jeszczeby wznosił światynie szczęścia dla drugich. On spójrzał na nią, lecz to spójrzenie było krótkie, a silne; zupełnie nie to, w którém cały byt człowieka zlewa się w jedno namiętne uczucie, i pali się wyobrażeniem miłości. Nie! nie miłość błysnęła w oczach Henryka; zimne i ponure było to spójrzenie; w nim przebijała się groźba i razem przebaczenie dla wroga, dla téj która zniszczyła

szczęście jego, i jedném wysileniem wszystkie rozwiała nawet szczęścia nadzieje. On zbliżył się do niéj i z czułością już brata na nią spozierał.

— Cóż cię tak obraziło Jadwigo? zapytał po chwili, chciałaś wiedzieć zdanie moje, względem twego szczęścia; możem ci i za gorzko odpowiedział? lecz wierz mi iż świat na którém zakładasz sobie to szczęście, a któren wystawiasz sobie spokojnym, jest wzburzonym nawałnością, i wrzący bezdennemi wirami; ujrzysz się nie raz miotaną falami gwałtu; nie raz uderzoną o skały podstępu i zdrady! Wprawdzie iż gdziekolwiek tylko udasz się, to wszędzie znajdziesz wesołość, wszędzie albo śmiéchy, radości, albo śpiewy roskosznych uciech powitają ciebie; i zdawać ci się będzie, że każde serce rozpływa się z dobroci, że każda dłoń jest hojną dla miłości bliźniego; że niema nieszczęśliwego człowieka, prócz żebraków co z jękiem wyciągają wywiędłą rękę! jednakże wierz mi Jadwigo, że to wszystko jest tylko udanie; jest to wszystko prawie toż samo, co

rumieniec na trupiéj twarzy suchotnika! Ja więcéj doświadczałem, więcéj też poznałem ludzi; a dla tego widzisz sama, że uciekam teraz od nich, stronię od ich zabaw, bo zabawy przestały mnie zajmować i sprawiać rozrywkę; lubię samotność, bo jestem nieszczęśliwy, i nie chcę przez moję obecność zasępiać uciechy drugich! A co jeszcze nadal od dzisiaj przedsięwezmę, to straszliwie ciemna i gęsta zasłania przede mną mgła niezbadanéj przyszłości.

Gdy domawiał tych słów ostatnich, Jadwiga rzuciła się w objęcia Henryka, i lekko ucałowała go w czoło.

— Przyjm, rzekła, od przywiązanéj ku tobie siostry czuły dowod rzetelnéj, z serca płynącéj wdzięczności.

Henryk gorzko się uśmiéchnął, lecz tego uśmiéchu niedostrzegła Jadwiga.

— Mylisz się Henryku w swojém mniemaniu: odezwała się, o! nie, ja muszę bydz z Wacławem szczęśliwą; muszę jeszcze i twoje szczęście oglądać! przestań tylko myśleć o tém, co już minęło; a znajdziesz istotę

która, z roskoszą powierzy ci swoje życie.

— Czyż sądzisz iż kiedykolwiek zechcę jéj szukać? zapytał z ironiją.

— A czyż małżeństwo nie jest przepisem natury?

— Małżeństwo z kobiétą?!..... Jest to dowiedzioném, iż jedni z drugich powstają, tworzą się, świat więc zaludnionym bydź musi czyli to przez małżeństwo, czyli to bez niego.

Jadwiga nań spójrzała, on zaś zamilkł i czas jakiś zdawał się namyślać.

— Zresztą..... tak!..... małżeństwo widocznie jest przepisem natury; mężczyzna i kobiéta stworzeni są, iżby z sobą w towarzystwie dni życia trawili, a dla tego można przypuścić, iż ten stan jest godnym warunków szczęśliwości. A to, jedynie tylko dla tego, że nadzieja szczęśliwości, tak mocno jest w sercu ludzkiém wyrytą, iż najdłuższe doświadczenie zatrzeć ją nie może; i wieleby czasu zużyć potrzeba było, nim przekonalibyśmy się.....

— Dla czegożto Henryku dzisiaj, jak mi

się zdaje, jesteś zupełnie przeciwnym dobru które ludzie znajdują w małżeństwie? Nie rozumiem atoli, aby powieści o roskoszach i słodyczach małżeństw, były bajecznem urojeniem.

— Mówisz żem przeciwny? odpowiedział z szyderczym uśmiéchem, przeciwny?..... nie!..... a może niezrozumiałemi wyrazy tłumaczyłem ci moje myśli.

W tym jakiś szelest za murami ogrodu przerwał im rozmowę; nakoniec boczna fórta lekko się odemknęła, i ciemną drzew gęstwiną mgnęła postać człowieka. Jadwiga zostawiła Henryka i skoczyła ku téj stronie, gdzie ta postać przedzierała się. — Był to Wacław Norsztyn.

— Wszystko już w gotowości Jadwigo! i w komnatach Podskarbiego już nie widać światła: prędzéj! Ach! dla Boga! ktoś przechadza się szpalerem!

— To Henryk, odpowiedziała spokojnie Jadwiga.

— Zawsze on! oh! przeklęty!

— Przestań luby Wacławie; nie potępiaj go: on jest naszym przyjacielem.

— Jakże teraz!.... Czy wie o wszystkiém?

— Wie, i nas nie zdradzi.

— No, tedy czas uchodzi, prędzéj! konie aż za miastem czekają.

Jadwiga lekko pobiegła do Altany, przeodziała się w salopę, skinęła pożegnalnie do Henryka i znikła w cieniach nocy.

Henryk długo stał patrząc na odchodzącą w milczeniu.

— Przepadłaś! zginęłaś! krzyknął nakoniec; O! Jadwigo! podobały ci się jego bogactwa! podobała ci się jego układność światowa, ale nie on! Ja przekonany jestem żeś go nie kochała, nie kochasz, i nigdy kochać nie będziesz! Świat cię zepsuł! wzgardziłaś cnotami twoich przodków, a zasmakowałaś w obyczajach rospustnego świata! Sto kroć na lepszeby ci wyszło, gdybyś nie znała owych wojażów i miast wielkich mieszkańców zwyczajów, które na chwile tylko, na czas bardzo krótki, mamią i bawią duszę, a poźniéj gwałtem ponurzają

w głęboki wir nieszczęść! Stokroć byłabyś szczęśliwszą, gdybyś zrodzona pod ubogą i nędzną strzechą kmiotka, z lat dziecinnych życie całe przepędzała w pracy, w dniach skwarnych i dniach mroźnych, przy pana swego dobytku; miałabyś przynajmniéj noc spokojną, serce czyste, i duszę swobodną, coby ci było najsłodszą nagrodą za wszystkie goryczy! a dzisiaj!.....

Gorzko uśmiéchnął się; i śpiesznie wyszedł z ogrodu.

II.

Nie powinno to czytających gniewać, iż ja moję powieść w jedném nieprowadzę miéjscu; winien albowiem temu Wacław, że często je przemieniał: a gdy teraz jak widzieliśmy udał się z Jadwigą na Podol, słuszna więc jeżeli i moję powieść w tę przeniesę stronę; nie chcąc jednak nudzić czytelnika mniéjszemi wypadkami, z jakiemi się on zawsze na drodze życia napotykał, nie będę zazierać w domowe jego przez rok cały z małżonką pożycie (wiedzieć albowiem należy iż z Jadwigą łączyły już ich śluby małżeństwa) opuśćmy więc rok cały, a obaczmy co się po skończonym wydarzyło.

Wieczór cichy, wieczór majowy osiadł nad horyzontem Kamieńca, mieszkańcy którego dawno już we śnie zamarli; gdzie niegdzie tylko czujni stróże ulic donośnym głosem zakłócą nocną spokojność. Księżyc już stary, zdziecinniały, późno wydobył się ze swego łoża, i posępnie patrząc utraconym wzrokiem, słabe rozlewał promienie po szczytach świątyń, i dachach odwiecznie zbudowanych domów; a chociaż najmniejszy wietrzyk nie mącił powietrza, jednak czarne chmury przesuwały się po ciemnym błękicie, i wzbraniały ciekawym gwiazdom zazierać w dziewictwo wstydliwéj natury.

W miejscu, gdzie dzisiaj Witowski ogród, Smotrycz okoliwszy miasto, zwolna już brzęczał przełażąc kamienie sterczące na brzegach, co zdawały się wiązać jego swobodę, i hamować zapęd niespokojnego żywiołu; czasem szemrzącéj kapryśnie rzece, ozwie się wtórem słowik czuwający przy swéj kochance, co się gdzieś wdarła na skałę między dzikie tarki; lub nietoperz przeszywając powietrze zawurczy

skórzanemi skrzydły, i w rospadlinie granitu zaświégoce piskliwie.

W tém uroczém, zachwycającém, i razem dzikiém miéjscu; między gęstemi lipami, pod nawisłą z drugiéj strony skałą, co zdawała się tworzyć grotę pustelniczą, siedział na kamiennéj ławeczce Henryk oparty o stół z twardego granitu. Siedział długo — milczący.

Księżyc przéjrzał z za chmur i oświecił jego twarz napiętnowaną cierpieniami.

— Jeszcze okrutna! wymruczał, jeszcze! jeszcze, nie przestała mnie męczyć! jeszcze za mało ucierpiałem!... ha! głupie przywiązanie!... kocham ją, — moc nałogu!

Znowu zamilkł, westchnienie ciężkie, gwałtem wydarło się z jego piersi; zadrżał — i zruszył się z miéjsca, jakby mu tak było niewygodnie; odwrócił się ku rzece i wzrok swój utopił w bystrych jéj nurtach.

Lekki nakoniec szelest pomiędzy drzewami przerwał tę spokojność. Henryk spójrzał po za siebie, lecz znowu wszystko ucichło.

— Nie! to wiatr żółtemi miota liśćmi! przemówił.

Nacisnął mocniéj czapkę, i znowu milcząc siedział. Księżyc skrył się za chmury, i znowu jak w grobie; lecz nie długo, bo za chwil kilka szelest rozległ się już bliżéj, i coś tak jakby kto gałąź przełamał, klasnęło.

— To ona! zawołał pocichu, oh! wieleż mi teraz męstwa brakuje!

Wstał, zdaje się że wszystkie zebrał siły, że mu twarz zupełnie rozpogodzona: spójrzał baczuie w stronę zkąd szelest powstawał, lecz nic nie widział, nic dojrzeć nie mógł; nadstawił pilnie ucha, lecz i tém nic nie wyśledził.

— Nie! rzekł, to ptak przelatując klasnął chyżemi skrzydły po suchéj gałęzi.

Wstał, poprawił kontusz, szczelniéj otulił się nim, i dużemi kroki przechadzał się w ciemnych zaroślach. Stanął poźniéj na brzegu rzeki, trącił do wody nogą kilka drobnych kamyczków, i oparł się całym ciężarem o drzewo.

— Ha! mówił w sobie, kocham ją! lecz

gdyby wymagała rzeczy którąby splamiła mój honor i wielkim ciężarem przygniotła sumienie.....

Tu zamilkł, silniéj oparł się o drzewo, że zda się aż zatrzeszczało.

— Nie, nie! rzekł po chwili, wszystkie moce świata niech wywrą swe siły, to nigdy tego wymódz na mnie nie będą mogły!..... Ha! niebaczna dziecina! podobało ci się chwilowe cacko, błyskotka, rok ledwie minął, a ty ją precz od siebie chcesz już odrzucić! nieszczęśliwa!..... A prawiłaś mi dużo o szczęściu! Przewidywałem ja to szczęście z drobnego pyłku na czczym powietrzu kobiéty lepione ręką! Oh! w ten wieczór.....

Zwiesił głowę i zamilkł na chwilę.

— W ten wieczór głęboko poprulo się me serce, i gruba jakaś pomroka nacałe wionęła życie!

Księżyc znowu przéjrzał z za chmur, i długo w zwilżoném łzą oku Henryka tysiącém odbijał się promieni. Nie ocierał on téj rosy z męskiéj powieki, wolniéj tylko odetchnął i spójrzał na księżyc.

— Tak już późno, a jéj niéma; przemówił spokojnie, miałżebym się omylić? nie znam wprawdzie tego dzikiego ustronia, które prędzéj wziąć można za siedlisko grobowych mieszkańców! ona go nazwała ulubioném swém dla przechadzki miéjscem! znacznie się zmienić musiała!

Zamilkł, i poszedł ku kamiennéj gdzie pierwéj siedział ławeczce.

— W cóż się obróciły te dziecinne lata? mówił w sobie, czas wszystko rozwiał, zniszczył!.....

Stanął przy drzewie przy którém ławeczka była opartą, i przy słabym blasku księżyca, zdawał się pilnie szukać czegoś po gładkiéj korze.

— Nie! rzekł, nie omyliłem się! o luba! na tym niemym drzewie wyrznęłaś moje imie ostrym żelazcem!..... musiałaś więc często mnie wspominać?

Rozśmiał się szyderczo, i dodał:

— A czy to posłuży już nam na co?!....

W tym usłyszał z boku cicho wymówione

swe imie, obéjrzał się pilnie i obaczył spiesznie idącą Jadwigę.

— Czy ty? rzekła zbliżając się.

— Ja, Henryk; odpowiedział.

— O luby Henryku! jesteś nakoniec!

Wymawiając te słowa, rzuciła się w jego objęcia, lecz Henryk nie dozwolił w tym stanie długo pozostać.

— Czekałeś na mnie? zapytała nieśmiało.

— Tak, znudziło mnie cokolwiek tak długie oczekiwanie.

— Ha! był czas, przemówiła słabo, w którymyś mawiał, iż gdyby każda noc była wiekiem, i w poranku dopiéro miałbyś mnie ujrzeć, jakże chętnie tę noc w grobiebyś nawet przesiedział; a dzisiaj.....

— Byłto czas błogi! odrzekł gorzko, wtenczas mówiłaś, i ja czułem że byłaś moją Jadwigą; a dzisiaj.....

Długie milczenie towarzyszyło gwałtownemu ich serc biciu.

— Ojciec méj nieprzebłagany? zapytała nakoniec.

— Nigdy sobie mówić o tobie nie pozwala.

— I ty nigdy nie mówisz?

— Nie mogę sprzeciwiać się jego zakazom.

— I sam nigdy nie wspominasz.

— Wspominam tylko sobie że jesteś bardzo szczęśliwą; wszakże w wieczór twego z domu ojca wyjazdu, mówiłaś mi dużo o swojém jakie cię czeka szczęściu.

— Swiat mnie zawiódł szkaradnie! przerwała z westchnieniem.

— Na niestałości swojéj założyłaś to szczęście, niestałością i płochością chciałaś się zupełnie wznieść!

Jadwiga milczała; spójrzała tylko na Henryka, i nie śmiała więcéj mówić; lecz pierś jéj wysoko podniesiona, wzdęta z natężenia wynikłego usiłowaniem utrzymania łez, usta jéj mimowolnie drgali, iżby mogła zrzucić tłumaczenie które ciężkim kamieniem leżało na sercu: czując atoli nakoniec, iżby próżnemi były wszystkie starania, lekko skoczyła na brzeg rzeki, i otarła łzy powisłe na dużych rzęsach. Henryk nie ruszył się z miéjsca, udawał obo-

jętność, lecz wzrokiem ciągle śledził tę, którą uraził. On potępiał siebie w okrucieństwie przeciw kobiécie, winnéj wprawdzie, ale jeszcze lubiącéj go, widział on dokładnie że kochała bez nadziei, a dla tego i to samo przynosiło już jéj wiele cierpień; i żałował prędko wymówionych słów, — gotów ją był przepraszać. Lecz te łzy które jego zachwiały męztwem, które przebudziły pierwszą młodzieńczą miłość, zupełnie przeciwny charakter wróciły Jadwidze. Krew wzburzyła się w żyłach obrażonéj kobiéty, w minutę łzy oschły, rumieniec dumy rozlał się po bladych pierwéj policzkach, i z oznaką zupełnéj obojętności pobudzonéj własną miłością wróciła do Henryka.

— Piękna jest kraina Podol; rzekła, osobliwie ten ogród zupełnie mi się podobał. Gdybyś pan wiedział jakie to urocze miéjsce, jeżeli księżyc wykaże się na nieucieniowanych chmurami niebiosach: właśnie teraz patrzałam na promyk jego, co się wykradł i ucałował granit ubielony pianą wody. Czy pan długo

jeszcze u nas w Kamieńcu zabawi? dodała pytanie w tonie nic nieznaczącym.

— Nie wiém jak mi wypadnie; przyjechałem tu w interessie krajowym do Podolskiego wojewody; dni kilka jednak, spodziewam się tu przebyć.

Spójrzał na Jadwigę, i chcąc ją przeprosić uniewiniał się w nieumyślnie wymówionych przez prędkość słowach, które ją może obraziły.

— Daremnie pan utrudzasz się w tym! zupełnie mnie to nieobraziło. Niestałość o którą mnie pan posądzasz, założyłeś zapewne na moim względem niego pierwej postępowaniu; lecz to już tak dawno przeszło! zresztą był to wiek dziecinny, podsycany samemi tylko marzeniami; zaś marzenia zamienić na rzeczywistość, miłość na złoto, są to zupełnie rzeczy niezasługujące na naganę: i jeżeli kto przy wstąpieniu w świat był do tyla głupim, albo nieszczęśliwym, iż tylko poległ na jednych marzeniach, nadziejach, wyobraźniach, więc zginął jeżeli prędko nie przygasi te myśli, ślady nawet zagładzić

powinien w swéj pamięci — w sercu: jest to jeden środek podnieść się, wzlecieć, iżby nie żebrzeć, nie błagać litości od ludzi nieczułych! bo nie wiem czy sprawiedliwie? jednakowoż tak utrzymuję: że u ludzi nie ma litości; bo ludzie są to szerszenie! jeżeli u nich kto żąda litości, to dostanie żądła, trucizny!

— Czy tak pani sądzi? zapytał z przestrachem Henryk, niepojmując tak prędkiego przechodu rzeczy i twardości w mowie, z jaką wymawiała te ostatnie słowa.

— Tak, to jest moje zdanie; a któregobym radziła i panu się trzymać.

— Jednakowoż pani niedawno tak utrzymywać poczęłaś?

— Z początku życia mojego: życia mojego albowiem początek, uważam od czasu zamąż pójścia, ponieważ przed tém byłam zupełnie nic nieznającą; i dzisiaj, na wszystko to, co już przeszło, patrzę jak na zabawki co mnie kiedyś w dzieciństwie zajmywały, a które teraz niewarte nawet najmniejszych wspomnień.

Jadwiga mówiła to lekko, obojętnie, cień

nawet przymusu, ani też udania nie przebijał się w jéj słowach; każdy dla tego wyraz jéj śmiertelnie go ranił.

— Tak, sprawiedliwe pani zdanie; odezwał się z goryczą, słusznie pani utrzymuje, zgadzam się na teraz: i zdaje mi się, że ten, ktoby wspomniał o czuciach młodzieńczych, i o tém wszystkiém czém jego młodość rozkwitała, to godzien jest litości tak, jak ten kwiatek przeszłonocny, zeschły, wśród trawy majowego poranku.

Długo milczeli oboje.

Jadwiga przystąpiła do Henryka i oparła swą głowę na jego ramieniu; on zaś jak posąg stał nieporuszony.

— Więc się znowu rozłączymy Henryku?

— Takie nasze przeznaczenie.

— Przeznaczenie, rzekła w roztargnieniu.

W téj chwili Henryk poczuł na swoich ciepło jéj policzków.

—Przeznaczenie, przeznaczenie! powtórzył. Jadwigo! rzekł mocno, nie chcę zdradzać twego małżonka! i uwolnił lekko swe ramie od jéj głowy.

Na twarzy Jadwigi nie widać było złorzeczenia, ani też smutku; niespodziewany i ciężki raz, do tego stopnia potrzasł jéj myślami i czuciem, że krew zdaje się przygniotła jéj mózg, przygniotła serce: ze zmartwiałych oczów i rysów twarzy, można ją było wziąć za istotę, którą życie już opuściło, wtenczas, kiedy przeciwnie; życie pełne, silne, wrzało w jéj piersi, lecz jak w umierającym, było ono tylko ciężarem.

— Henryku! mówiła zwolna, los nas sprowadził zapewne tylko dla tego, iżbyśmy się rozstali, pożegnali na zawsze! nieprzeczę temu iż wiele jestem winną względem ciebie; lecz wierz mi, wiele cierpię za moją winę! a wieleż to cierpień są mi jeszcze przepowiedzianémi w przyszłości..... Takie życie zupełnie wypłaca jeden błąd w młodzieńczym popełniony wieku! daruj mi!.....

— Ja nie wiem zupełnie czego pani żąda? roskazałaś mi bydź w ogrodzie, więc jestem; lecz nie dla tego sądziłem, iżbyś mi przypo-

minała przeszłość, którą radbym cokolwiek już zapomnieć. Noc wilgotna, pani tak lekko odziana; narażasz się niepotrzebnie; a to może bardzo uszkodzić jéj zdrowiu.

Jadwiga milczała. Przeciągnęła doń ręką, lecz on stał nieporuszony. Lękał się wymówić słówko, iżby nie zdradzić swoich uczuć; jego duma wznosiła się wyżéj władzy, jaką nad nim zdawała się mieć jeszcze Jadwiga; władzy uczuć uspokojonych czasem i cierpieniami, a w jednéj minucie teraz z pierwszą odradzających się siłą.

W téj chwili promień księżyca przebił się przez rzadsze gałęzie drzew i oblał pełném światłem Jadwigę; Henryk podniosł wzrok spuszczony pierwej na ziemię, i widział ją przed sobą czarującą, tak jak dawniéj, z tąż dla niego jak dawniéj miłością, z tymże jak dawniéj ogniem w oczach.

— Więc mnie odrzucasz Henryku? rzekła.

Męstwo go opuściło, rzucił się bystro, chwycił jéj rękę, i okrył namiętnemi pocałunkami.

— Czy to bydź może? zawołała, ty mi wszystko przebaczasz! ty mnie kochasz jeszcze! O! mój Henryku!

— Tak! tak! wykrzyknął, kocham cię jak pierwéj, jak zawsze, jak nigdy nie przestawałem cię kochać! nawet zapomniany przez ciebie, przeklinałem, a zawsze kochałem! O! Jadwigo! dla czegoż nas los rozłączył?!....

— Lecz teraz, nic już nas nie rozłączy! nigdy już nie wyrwiesz się z moich objęć! teraz na zawsze mój!.....

W téj chwili już nie ręce, a usta ich zeszły się i złączyły się w ognistym pocałunku: poczém nagle Henryk odskoczył w przestrachu.

— Jadwigo! rzekł zwolna, ten pocałunek powinien bydź ostatnim, pożegnalnym!..... Nie, nie! my żyć nigdy nie możemy nierozłączeni.

— Henryku! o jakiéj to mówisz rozłące? Nie! dla nas już nie ma rozłąki! Dni kilka a twoje i moje starania, zupełnie mnie oswobodzą od kajdan małżeństwa z obmierzłą potworą!

— Zastanów się Jadwigo! widzisz miłość moję dla ciebie bez granic; lecz cnota jeszcze więcéj ma nade mną władzy! We własnych twych oczach, stałbym się późniéj niegodnym, jeślibym się poważył zdradzić małżonka twego; on cię kocha! nie chcę bydź okrótnym, barbarzyńcą, nie chcę burząc jego, zakładać swoje szczęście! nakoniec kara niebios! Bóg świadek czybym pomyślał kiedy!..... Nie! nie Jadwigo! z utratą cnoty i zgryzotą sumienia, nie chcę mieć ciebie, nie powinienem, nie mogę!

— Więc mnie odrzucasz niebaczny! Czy to ja będę twoją, czy nie, lecz Wacława żoną nigdy już nadal nie będę — nie jestem! A ty!..... Lecz co tobie do tego? co ci do mojéj przeszłości? przyszłości? Ty może w téj chwili cieszysz się z mojego nieszczęścia! cieszysz się żeś mnie uniżył! dziękujesz téj minucie w któréj zemściłeś się nademną!

— Jadwigo! czyż możesz mnie posądzać o zemstę?!

— Tak, posądzam! Henryku, ja nie przeniosę tego! ty mnie ubijesz albo doprowadzisz

do samobójstwa..... Ty mnie wyrzekasz się! Zalecasz obowiązki chrześcianina; więc przynajmniéj z miłości bliźniego ulituj się!

Henryk stał nieporuszony jak martwy.

— Henryku! mówiła w zapale, pomyśl, pomyśl, jakie nas szczęście czeka w przyszłości! Świat i ludzi znienawidziłam! przylgnę do twego serca, do twéj duszy, i wszystko znajdę przy tobie.

Mówiąc to Jadwiga oparła się na jego ramieniu i pieszczotliwie patrzyła mu w oczy.

— Tak, tak Henryku! twoja wiecznie!

— Wiecznie! zawołał w uniesieniu rzucając się w jéj objęcia, ty jedną dla mnie jesteś największém na ziemi szczęściem.

— O! teraz nikt już nas nie rozłączy!

W tym momencie księżyc wykazał się i oświecił tę część ogrodu, gdzie byli Henryk i Jadwiga. Ona rączętami objęła mu szyję, on swoją ręką owiązał ją w pół, zarzucił żelazny uścisk; odgłos pocałunku rozległ się i przebudził śpiące w skałach echo: a w gęstwie drzew coś jak błyskawica mignęło; coś tak, jakby

w wygładzonéj, w wypolerowanéj stali, księżyca odbił się promień; nagle słowik zanucił i urwał, sowa złowieszczym zahuczała głosem, i zleciała z miéjsca skąd błyskawica stali mignęła, i rój nietoperzów jakby czém spłoszonych przeszył powietrze: poczém, znowu spokojnie, znowu jak przedtém.

— Przeziębłaś Jadwigo? zapytał po chwili.

— Nie! lecz czuję się bydź bardzo znużoną! zbytnia radość!..... nieoczekiwane szczęście..... sił mi zabrakło..... Henryku!.....

Słowa zamarły na ustach, powieki zapadły, głowa powisła bezwładnie, członki stygnąć poczęły, i bladość powlekła rozpalone wprzód lice.

Henryk zwolna powstał, złożył ją na ławeczce, skoczył do rzeki, zaczerpnął w czapkę wody, i zimne jéj oblał skronie. Niezadługo Jadwiga przéjrzała, chwyciła drżącą ręką rękę Henryka, i zimnemi usty wycisnęła na niéj piętno wdzięczności.

Jesteś bardzo osłabioną; rzekł Henryk, i

pewnie nie czujesz się bydź w stanie powrócić do miasta, a już bardzo późno w noc.

— Czy bardzo późno? zapytała.

— O! późno; patrz, ranna jutrzeńka do niebios przybita.

— Więc czas już, czas! pomoż mi podnieść się!

— Droga tak niewygodna Jadwigo, nie będziesz mogła zajść sama; zaczekaj cokolwiek, ja zbieghę i mój powóz przyszlę; lecz może się lękasz czego?

— Nie, nie! tak mi dobrze, odpocznę cokolwiek.

Henryk zrzucił kontusz, otulił ją; zmoczoną czapkę podesłał pod głowę, i znikł w zaroślach ogrodu.

III.

Z pod skały, gdzie promień księżyca odbił się w wygładzonéj stali, wyszedł Wacław, przystąpił do Jadwigi i patrzał na nię w milczeniu, póki jéj oczy były zawarte; lecz gdy przéjrzała, rozśmiał się szyderczo.

— Czyś bardzo osłabiona? zapytał udając troskliwość.

— Tak prędko już wróciłeś luby Henryku! ozwała się.

— Jestem ci na teraz potrzebniéjszy, jak luby Henryk; odparł ponuro.

— A więc zdradzoną zostałam! krzyknęła, więc i ty Henryku powstałeś już na mnie! i twarz swoją skryła w obie dłonie.

— Nie, on cię nie zdradził; i ja nie zdradzam, tylko ty nędzna mnie i jego zdradzasz! — Małżonko! gdzież twa miłość ku mnie? gdzie twe przysięgi? gdzie czułe przywiązanie? gdzie nakoniec czoło? gdzie oczy? Głaskałaś mnie zdradziecko jak szatan, a jam był ślepy! Niewdzięczna! jeszcześ mi zarzuciła dzisiaj uścisk, którym, jak żądłem gadziny, aż środka dostałaś serca! ten uścisk jeszcze mnie ziębi; i ziębić wiecznie będzie! O! już nigdy mi nie jesteś w stanie wrócić pokoju! Czemużeś nie potrafiła ukryć to przed mojém okiem? I dziś ja wierzyć już muszę temu wszystkiemu, za co pierwéj mściłem się bezwinnie na mówiących prawdę. Przypomniéj! osądź siebie! rok ledwie minął, a wieluż to osób prócz małżonka darzyłaś swą miłością! Matko! jakąż sławę swéj przekażesz córce?

— Zwolna, zwolna mospanie! nadto się zapalasz; a mówisz żem cię oziębiła! Jam WPana nigdy nie kochała, i kochać nie będę; a od dzisiaj już nie jestem twą małżonką!

— Więc ja dzisiaj zostanę wdowcem? ozwał

się ponuro! Tak! tak słyszałem jak filozofowałaś, zawołał po chwili, że miłość zamienić na złoto, jest to rzecz godna pochwały. O! czemużem tego pierwéj nie przewidział? Podobało ci się więc moje złoto? pokochałaś go?..... Jasne, błyszczące, ale ciężkie złoto!

Podszedł bliżéj, usiadł przy niéj na ławeczce i wyjął z kieszeni woreczek.

— Za złoto, rzekł, wszystko oddasz! bo w złocie się kochasz; dam ci dukata jeżeli mnie pocałujesz: a dwa jeżeli.....

— Precz! precz nikczemny! przerwała, i odtrąciła go silnie ręką.

— To już moje złoto nie ma u ciebie najmniéjszéj ceny? a może mało płacę? więc potargujemy się. To mówiąc, rzucił woreczek z brzękiem o ziemię, a z zanadrza wydobył błyszczący sztylet.

— Kochałaś moje złoto! zawołał w szaleństwie; a ja pokochałem ciebie! pokochałem krew twoją!

Rzucił się na Jadwigę, stal błysnęła,

i przeraźliwy jęk wyleciał z kobiécéj piersi.

— Ach jakie szkaradne cielsko! mówił obłąkany, no proszę? tak twarde, że mi się sztylet przełamał; a z najlepszéj angielskiéj był stali. Odszedł kroków kilka, i znowu się zawrócił.

— Czy cię zabiłem Jadwigo? zapytał spokojnie, małżonko czy żyjesz?

Poczém zbliżył się do martwéj, patrzał długo, rozszarpał krwią zbroczoną na piersiach suknię, i ciekawie lecz obojętnie uważał na kształt rany.

— Ha! zawołał, jaszczurcze plemie Ewy! zajrzałem do twéj duszy! za życia wymierzyłem sprawiedliwą nagrodę twéj miłości! Ach! jaka krew plugawa wysączyła się z tego obrzydliwego serca!..... Precz! precz! brzydki trupie! nie plam szlachetniéjszego od ciebie głazu!

Chwycił za nogę martwą, i cisnął o ziemię; a sam wysilony wewnętrzną uczuć walką, upadł bezwładnie na skrwawioną ławeczkę.

W tym księżyc wykazał się cały, i oświecił ofiarę zemsty Wacława. Owa Jadwiga, tak niedawno pełna życia, teraz blada, zimna; włosy jéj zwinięte w pierścienie spadając przez trupie czoło i śnieżne ramiona, rozesłały się w nieładzie po ziemi, na licu roskwita bladość upiora; palce wystające z delikatnych rąk, te palce na które młodzież z uwielbianiem patrzała, śmierć teraz zaręczalne z umarłemi powkładała obrączki. Z tych piersi nadobnych, piersi, co tyle niegdyś mieściły w sobie ognia, krew się już zimna lała i zimnym grobowym wionęły już oddechem.

Wacław wszystko to widział i milczał, a księżyc jak na złość jednostajnie ciągle przyświecał.

— Ach! jakżem nieszczęśliwy! zawołał nakoniec, za cóż mnie zdradziłaś? Jam cię tyle kochał!..... Jadwigo! czegożbym był nie poświęcił dla ciebie? o! czemużeś twemu małżonkowi niezaprawiła skrycie chociaż w zdradzieckiém objęciu, najjadowitszéj trucizny, niechbym był skonał w tém słodkiém przeko-

naniu, że zostawiam cię wierną dla siebie! Jakaż wina moja iż tak bez litości zemściłaś się nademną? Jadwigo! ja zawsze widziałem w tobie niebo, a tyś! tyś gorzała piekłem! krzyknął z obrzydzeniem.

Tu zamilkł, obrócił się w drugą stronę, nacisnął czapkę na głowę i gwizdał cicho, niezrozumiale a przeraźliwie.

— Nie! nie, gadzie zdradziecki! niewartaś żadnych wspomnień, boś mnie nigdy nie kochała! najmniéjszéj litości, boś mnie oszukiwała! najmniéjszéj litości! to nawet nadto małą jest nadgrodą za moje do ciebie przywiązanie! Ja inną twemu życiu gotowałem osłodę! Daruj luba, zrobiłem to prędko, nierozważnie. Ja cię chciałem z Henrykiem połączyć węzłem małżeństwa! Lecz za cóż? prawda, on nic nie winien! samaś się mu jak szatan na rozstajnéj drodze nawiązywała! a widzisz, i on ci nie był wzajemnym, nawet niewdzięcznym do tyla, iż pewnieby teraz nie zechciał podzielić z tobą łoża małżeńskiego! A tyś go czy kochała? nędzna! tyś jego także nie kochała!

Zkądże? i kiedy ta miłość wzrość tak silnie mogła, gdy rok ledwie minął jak nim wzgardziłaś! Więc to nie była miłość, a rozpasana namiętność!

Tu wolniéj odetchnął, zdawał się bydź cokolwiek uspokojonym, i wzrok swój całkiem w zakrwawionéj zatopił piersi.

— Jadwigo! rzekł, ureczam cię że każden z twoich wielbicieli, teraz plunąłby na tę pierś, na te usta! Ach! jakież bo obrzydliwe te usta! Precz! precz mi z niemi!

Odwrócił się, wstał i poszedł w gęstwinę drzew niemogąc znieść tego widoku.

Długo błądził po dzikich, stromych skałach, i ciemnych zaroślach, stanął pożniéj nad rzeką i wzniosłszy głowę ku niebu, zawołał:

— O jakże już wiele dni, czernią się żałobą! i rzędem jak sznur żórawiów! Jakże to już dawno, jak pogody w mej nie widzę duszy! Złowieszcza jakaś mara swym oddechem, napędziła na moje życie grube chmurzysko, a czarne, jakby z dymów piekła! a ciężkie jakby utuczone łzami nieszczęśliwych!

I ta zaklęta z dymów piekła chmura, nie lunie deszczem, nie ulży mi! przez nią nie mogę obaczyć dni pogodnych! a choć jestem wolny, lecz moja wolność, jestto wolność więźnia w łańcuchy spiętego!

Znowu zamilkł, i chciał odéjść, lecz obaczył spiesznie idącego Henryka; skrył się więc za drzewo, a gdy ten przechodził mimo jego, wyskoczył nagle i chwycił go za ramię.

— Kto jesteś? krzyknął przestraszony Henryk.

— Co ci jest Henryku, ozwał się, przestraszyłeś się podobnego sobie człowieka! jestem Wacław! jakże się miewasz? czy zdrowo? tak dawno widziany.

— Ty Wacław?..... wybąkał Henryk.

— Zmiłujże się kochany Henryku! czego ty się lękasz? gdybym miał ochotę uczynić ci zło, więcbym dawno już uczynił; myślisz żem zazdrosny? o! jeżeli tak, to bardzo grubo się mylisz! widziałem cię pierwéj z Jadwigą!

— Widziałeś? powtórzył niezrozumiale.

— Widziałem, widziałem! lecz mniéjsza

o to; lepiéj powiedz mi, jakie interessa zapędziły cię do naszéj krainy? i kiedy przyjechałeś?

— Przyjechałem dzisiaj rano; przemówił Henryk, w interessie krajowym do tutejszego Wojewody. Ależ puść, rękę mi ścisnąłeś mocno.

— A! przepraszam, przepraszam! zapomniałem się. — Powiedz mi, czy kochasz życie? no! musi ono bydź wprawdzie, dla ciebie ciężarem, tego to się już nie wypieraj! lecz przez miłość ku bliźniemu przyjm jeszcze i odemnie, a mam dwa i oba zupełnie są mi niepotrzebne!

— Wacławie! musisz bydź chorym?

— Czy tylko nie bierzesz mnie za szalonego? Chodź, pójdziemy, Jadwiga musi czekać na powoz!

Wacław ujął rękę Henryka i pociągnął za sobą mimo jego chęci.

— Gdybyś wiedział, mówił Wacław, jaką mam szkodę? Przed chwilą, tylko jak ztąd wyszedłeś, byłem ciekawy, i zaprobowałem

ostrzem sztyletu, twardości podłej, czarnej gliny, i sztylet mi się ułamał, trzonko tylko zostało; to zaś do niczego już niezdatne: może masz jakie żelasko, cyzoryk, pożycz mi, jestem teraz ciekawy obaczyć jaka krew w mojém sercu. Ale prawda, choćbyś i miał, to nie dasz, zbrudzony krwią albowiem musiałbyś wyrzucić.

— Patrz na Jadwigę! mówił przyszedłszy do martwéj.

—Nie pojmuję cię Wacławie! krzyknął przestraszony.

— Wstydź się, czegoż uciekasz? wszakże dzisiaj jeszcze mówiłeś że ją kochasz; a coby to oddali przed chwilą niektórzy za jeden jéj całus! nie ty, nie! wszak widziałem żeś był nie bardzo ochoczym na jéj uściski.

— Więc zabiłeś żonę! odrzekł ponuro Henryk, i z zimną krwią na nią teraz patrzysz?

— Co? z zimną krwią! krzyknął, fałsz Henryku! największy jaki tylko bydź może na świecie fałsz! patrz jaki w żyłach ogień! a czoło! a w piersiach wulkan!

— Cożeś zrobił? może jeszcze jaki ratunek? upamiętaj się Wacławie!

— Ratunek? szalony! ona go nie potrzebuje! Patrz jéj usta teraz się śmieją, dziękują mi za łaskę! Lecz nie dobrą jesteś małżonko, jesteś mi niewzajemną, odpłacasz mi się niewdzięcznością! uwolniłem cię od życia, a ty widząc że moje jest dla mnie ciężarem, jeszcze i swoje na mnie zelałaś. O! strasznie mi teraz ciężko! weź, przyjm Henryku odemnie te życia!

Henryk przystąpił do ciała Jadwigi i zbliska oglądał twarz jéj bladą i ranę w piersiach.

— Jesteś nieszczęśliwy Wacławie! zawołał z płaczem.

— Szczęśliwszy od ciebie! odrzekł.

Zbliżył się także do martwéj, odchylił zupełnie jéj suknię na piersiach, obiemi dłońmi przycisnął mocno ranę, sztylet wykazał się, chwycił go zębami i wydobył.

— A co? nie prawdę mówiłem? nie jestemże teraz szczęśliwszy?

— Wstydź się Wacławie! chcesz bydź samobójcą!

— Więc ty bądź moim dobroczyńcą; nie chcesz? Powiedźże mi dla czego? wytłumacz mi proszę, co to jest życie? jestże ono roskoszą? niewłaściwiéjże nazwać je najbrudniéjszym, najobrzydliwszym ciężarem, co przygniata człowieka od powicia do grobu, a ująwszy z chytrością za rękę, prowadzi po gościńcu najeżonym cierniem, nakrywszy mu wprzód oczy powłóką nadziei; późniéj tę powłókę rozwieje wiatr, i szatan się rozśmieje z naszego niedołęstwa. Człowiek zaś ciemny, ślepy nadzieją, leci i niezważa jak się srodze zrani, jak nie raz upadnie, a ciernie daleko mu wgrzęzną, w ciało, aż w serce; nie uważa na to, a leci daléj, daléj! nakoniec znużony, wycięczony bólem pada raz ostatni, i ginie wśród cierni, cierniem uwięczony! — Litości godzien człowiek! ulżyć mu należy jak żołnierzowi na polu bitwy, okrytemu ranami śmiertelnemi i we własnej krwi nurzającemu się; dobij go! zrobisz mu łaskę! — Jam jéj łaskę zrobił! Lecz prawda,

lubiła życie, bo też jéj było bardzo słodkie, wielu miała szatanów, którzy ją swoim napawali jadem. Ach! gdybyś wiedział Henryku, przez ten rok długi, ile ucierpiałem; wszyscy wrzeszczeli, a jam oczy zasłonił, wierzyć nie chciałem, nazywałem to brednią i mściłem się! — Patrz Jadwigo! jesteś samą, żaden z tych łotrów do ciebie teraz nie przyjdzie, a wszakże pozwoliłbym bez zazdrości korzystać teraz z ciała, które tak lubili! zrobilibyście mi nawet pociechę, powiązałbym was węzłem nieprzerwanym, i zapładnialibyście krainę grobową, a ja waszego płodu byłbym sprawcą! Precz! precz nędzna! nie powinnaś plamić macierzyńskiego ziemi łona! Trącił silnie nogą ciało Jadwigi, które od tęgiego razu upadło w wodę i znikło.

— To, rzekł, méj małżonce ostatni, czuły, pożegnalny, pieszczotliwy uścisk.

Księżyc skrył się znowu za chmury; słowik, gdy się wszystko uciszyło, znowu zanócił, znowu jak przedtém spokojnie; tylko wiatr gdzie niegdzie liśćmi zaszeleszcze.

— Widzisz Henryku! mówił Wacław, taką miałem żonę; słuszna dla tego żem w wodzie grób dla niéj przeznaczył, i woda przemijająca pomnikiem dla niéj będzie. Nędzna! zostawiła córkę, piękny też i posag zostawiła dla niéj w swém brudném imieniu! — O! ja nieszczęśliwy! Henryku! jestem wielu nieszczęść i łez przyczyną; a łzy nigdy nie przepadają! — Mścisz się Ryszardzie! okrutny! dotrzymujesz słowa!..... Gdybyś wiedział Henryku? O! patrz! patrz! krzyknął przelękniony, patrz! to Ryszard stoi przedemną — mara!.....

Wspomnienia przeszłości, i obecne nieszczęście, zupełnie go osłabiły; upadł bezwładnie na ziemię i długo w półmartwym zostawał stanie.

Henryk za pomocą przywołanych służalców, przeniosł go do powozu i zawiozł do mieszkania. Dni kilka jeszcze w czarném obłąkaniu przebył tak Wacław; za pomocą wreszcie lekarzy, po przywróconém zdrowiu, nie chciał już mieszkać w miéjscu, które świadkiem

było jego zbrodni: zostawił wychowanie swéj córki, małéj Helenki, życzliwym mu przyjaciołom, a sam opuścił Kamieniec.

IV.

Norsztyn opuściwszy Podol, zamieszkał w Szwajcaryi: lecz i ta kraina, chociaż bogata natury pięknością, nie miała dlań żadnych powabów; ciągle samotny, zawsze milczący, błądził po górach i dzikich okolicach, w których, najmniéjszéj nie znajdował przyjemności; owszem, wesołość, ta nierozłączna towarzyszka jego młodości, coraz daléj z laty ulatywała odeń. Pochopny niegdyś do zabaw i licznego towarzystwa, których zawsze był duszą, dzisiaj unikał tych; wzdychał tylko do rodzinnéj ziemi, lecz nie chciał powracać, bojąc się, iżby nie odnowić ran sercu zadanych. Po piętnasto-letniém nakoniec pobycie w kraju

obcym, przemogła miłość wrodzona każdemu człowiekowi dla kraju rodzinnego: jakoż umyślił wreszcie wrócić w ojczyców swych zagrodę.

Pewnego poranku, ujrzał się przecie znowu w granicach błogiego Podola, a przejeżdżając po pod las w znajomej sobie okolicy, kazał zatrzymać powóz, wysiadł zeń, i poszedł pasmem wzgórków ciągnących się aż w głąb lasu.

Czy widzieliście kiedy z uperlonémi potem czoły, powracających z pola wieczorną dobą wieśniaków? Czy uważaliście, jak oni usiadłszy na bliskim już wsi wzgórku przy drodze, spozierali z radością na spokojne swe chatki, od których, na jeden tylko dzień byli rozłączeni? Czy przypominacie sobie ową roskosz, jaką się przejmowały duszy wasze, patrząc na tych ludzi, którzy, ustawiczną pracą pozbawieni wielu wam właściwych uczuć, tak stateczne do swéj rodzinnéj strzechy mają przywiązanie, słodko, mówię, było wam wówczas, chociaż może zimném ich stan mierzycie okiem. A jakież uczucia, jakie myśli miotają duszą tego czło-

wieka, którego pierś, przez całą życia wiosnę, karmiona była rodzinném powietrzem, a serce jak ptak wzbijało się młodzieńczemi skrzydły nadziei w bogatą krainę szczęścia; nakoniec, pozbawione tego anielskiego karmu, długo błąkało się gdzieś po dzikich, suchych dla siebie że tak powiem, pustyniach, wraca nakoniec do kolebki swéj młodości? Jakież uczucia, jakie myśli miotały duszą Norsztyna w téj chwili, gdy się ujrzał na ziemi swoich ojców, na téj ziemi, która mu szczęśliwy wiek młodzieńczy w tak uroczym malowała obrazie? O! kto okiem nigdy nie wyjrzał za granicę swojego spokojnego domku, kto całe życie błogo przepędził pod ojczystém niebem, ten nigdy nie pojmie, nie jest w stanie nawet pojąć téj wielkiéj radości!

Słońce już wzeszło, i promienie jego przedzierały się pomiędzy wesołe, jak wiosna młodzieńca liście dębów, brzoz i jaworów użyczając życia, jakby ręką człowieka wypieszczonym kwiatom. Niebawnie znalazł się w dolinie, nad którą z trzech stron panowały wzniosłe

góry, okryte drzewami; boki ich niezbyt pochyłe poprzerzynane były w różnych kierunkach rzeczkami, które płytkiemi zstępowały koryty, podobnie błękitnym wstęgom, wśród udrapirowanych różnobarwnym kwieciem swych brzegów; a przy jednostajnym i przyjemnym szumie, łączącym się z szelestem wiatru, przebijającego się przez liście, staczały się po stromych już przy dolinie miejscach, pianą ubielonymi pierścieniami: tam i sam po górach, sterczały olbrzymie dęby, a ich gałęzie poważnie poglądały na ugarnirowane szkarłatnémi jagodami głogu, i brunatnémi tarki poziome krzewy, w których, otwarte były tu i ówdzie, do przechodu ścieżki. Pod starą lipą, co się zdawała bydź królową doliny, źródło silnie wytryskiwało w górę wodę, ta zaś w wydrążonéj swym spadem kolébce, uspakajała się cokolwiek, a poźniéj małym strumykiem gęste czyniąc zakręty przerzynała murawę; gdy tymczasem wdali waska, lecz bystra rzeczka, błąkając się bokiem granitowéj skały, najeżonéj dzikiemi krzewami, częścią otwarte tworząc zalewy, częścią ście-

śnione, wody swe przez stérczące kamyki, miłém szczyła szemrzeniem, a bratnie przyjawszy wreszcie w czeremchowym gaju, wszystkie swe z gór spływające siostry, znikała pomału, wśród młodych drzew i kwiatów rozrzuconych po dolinie i utrzymywała na téj nieprzerwaną zieloność.

Wacław usiadł przy źródle na pniu dawno już szczerniałym, i w głębokie zapuścił się dumania. Zdawało mu się że odżył, że dawno już minione lata szczęścia, lata młodości powróciły — że dziciniał.

— O ziemio kochana! zawołał w radości i rozrzewnieniu; kolebko życia mego, Podolu luby! Dla czegoż los przeklęty zegnał mnie z twego łona! dla czegoż nie pozwolił mi oddychać wiecznie tém powietrzem, które tak jest przyjemne i posilne, tém tchnieniem, które mnie jeszcze niemowle bezduszne w matki łonie życiem darzyło? O! czemużem cię odjechał zaciszu rodzinny! Lecz już wracam, a wracam na zawsze; i ty mnie przyjmiesz do swego łona. Powitam was miłe obrazy mego dzieciń-

stwa, ujrzę was znowu, ujrzę was, te same góry, te łąki, te pola świadkowie mojego szczęścia; obiegę te sianożęcia, gdziem dziecinne dłonie topił w trawkach i kwiatkach mięciuchnych; te pagórki rozkrzewione mądrze, po których bezwładnemi jeszcze nogi motylki goniłem; ten sędziwy Miodobor, w którym, gdzieś po wierzchołkach wiekiem zasianéj dębiny czające się jastrzębie, młodém imałem okiem. Powitam was Tołtry, herbie Podola, na których wypoczywające wieki zasiały mech dziki brunatnémi pręgami! was liczne kurhany, tak drogie mojemu sercu! Odnowię znowu przyjaźń z sinym Dniestrem, do którego w czasach złotych, już młodzieńczych, pędziłem jakby z wiatrami w zawody, jakby dziewica za godowym wieńcem, bym dłonią plusnął w czarną głąb téj rzeki rodzinnéj, co płucze w grobach ojców kości, i burczy głucho, nucąc piosnkę o ruinie ich potęgi. Pobratam się z wami! pobratam, tak jak dawniéj! Ach! jakże to już dawno! o! dawno bardzo! jeszczem był tak młody; tylkom co wyszedł z koła dziecinnego! jeszcze

to było w te czasy, w których, stary Maciéj wyprowadzał w stepy lub rozległe błonia, i tam, muż prawić, dzieje Podola: patrz, mówił, paniczu, jesteś młodą latorośla niczego nieświadomą, a wiedzieć powinieneś, iż ziemia na któréj urodziłeś się, po któréj teraz depcemy, jest zalaną krwią Tatarów, Turków, Zaporożców, i krwią ojców naszych; dla tego, mówił, i żyżniéjszą jest niżeli jaka inna; a całą wiedzieć będziesz historyę lat minionych, jeśli policzysz i poznasz wszystkie kurhany rosnące na téj ziemi. Tu patrz, mówił, Hetman Koniecpolski zwalczył Krymskiego Murzę, co z kilką swemi krył się na czatach, a potém z niewielkim pocztem do szczętu zniszczył psiarnię bisurmana; w inném miéjscu wskazywał wysoką mogiłę, i mówił: tu leży horda Tatarów, których sławny zwalczył Chodkiewicz; niedaleko od téj, wskazywał drugą, na któréj olbrzymi krzyż czerni, i mówił: ta, rośnie na ciałach wielkich ojców naszych; a tam pamiętam, w samotnym dole przy kurhanie mówił: tu spoczywa szlachcic Podolak który zginął pod nożem ste-

powym broniąc dzielnie życia swéj rodziny; indziéj, wskazywał miéjsca, gdzie wielkie siły padły ukraińskiéj czerni; tam znów za Dniestrem, mówił: król Jan Sobieski, z gronem możnych panów, i bracią szlachtą, napadł dzikie Turki. Ale gdzieżto moja pamięć wydoła twojéj kochany Macieju; Macieju! gdybyś wiedział jaki los spotka twego ulubieńca.

O! ten dzień wiecznie mi będzie pamiętny, w którymyś poczciwy staruszku oblał się łzami; w ten dzień rozstałem się z szczęściem, bom zapomniał twe rady — zapomniałem był nawet ostatnią, którąś mi w ostatnim oddał uścisku. Jam wesoł wówczas przyniósł ci czaskę człowieka, tyś ją obéjrzał i powiedział: weź tę czaszkę z sobą paniczu, to nie jest wroga Tatara, będzie ci z czasem przypominać to, o czém zapomnieć nie powinieneś. I bez niéj Macieju, odpowiedziałem, nigdy nie zapomnę; milczałeś, a łza ci się z oka potoczyła; pewnieś mój los przewidywał. O! tyś przewidywał, boś mi zawsze mawiał: nie jedź paniczu do miast wielkich, szczęścia albowiem

w nich nie znajdziesz; mawiał; bądź na wsi, między twemi kmiotkami; kochaj ich jak swe dzieci, a oni cię swémi będą żywić rękami i kochać jak ojca! Ha! był to czas złoty! złote rady, pełne ziarno, tylko w nader bujnéj zasiane roli, przepaliło się i nie wzeszło.

Zamilkł, i długo wmiesiwszy głębiéj czapkę, zdawał się nieruchomie patrzyć na wytryskujące silnie źródło.

— Czyż mógłem pomyślić wówczas? ozwał się znowu po chwili, czyż mógłem spodziewać się takich następstw? Żądza nauk podniecająca moją duszę zwiastowała mi wzbicie się na najwyższy stopień wielkości; widziałem się już uwieńczonym laurem sławy, który błyszczał anielskiemi promieńmi; a dzisiaj, dzisiaj w miéjscu lauru, widzę jakieś furie piekielne w groźnych na méj skroni z szyderczym uśmiéchem postaciach; bom wieniec sławy zamienił w brudném bagnie rospusty, na wieniec plugastwa i goniłem za nim, goniłem za ugasem już zbrodniczych żądz: w końcu wreszcie, zdawało mi się ujrzeć nadniebiańską piękność, do któréj,

w słodkich dążyłem marzeniach, lecz ta piękność znikła, i gady zasyczały na jéj miéjscu!

— Lecz nie, ona niewinna; mówił po krótkiém milczeniu; ja to, ja zniszczyłem i zaburzyłem jéj szczęście! jak zmija z żądłem w paszczy dotknąłem się jéj duszy, i zepsułem serce, zaraziłem go zgnilizną, a pierś stała się suchą, bez uczuć! Nieznając mnie byłabyś szczęśliwą! Przebacz mi małżonko! przebacz mi i ty Helenko, dziecie moje, krew z krwi mojéj! Przebacz mi droga córko! nieprzeklinaj twego ojca iż cię pozbawił macierzyńskich pieszczot! Ah! jakżebym chciał teraz całą, jaką mam dla cię miłość razem przelać do twój duszy; chciałbym roztworzyć me piersi, iżbyś własnemi oczęty mogła widzieć moc uczuć moich. Droga córko! serce moje, potrzebuje cię teraz; ono pamięta twe miłe, niewinne spójrzenia, twój anielski uśmiéch, którymyś darzyła ojca przyjemniéjszém życiem. O! moje serce, wszystko to pamięta! Ty mi przebaczysz i będziesz kochać, a ja znów przy tobie

odżyję. Odżyję przy was miłe ustronia, skoro tylko orzeźwię się waszym oddechem, skoro tylko ujrzę się na méj ojczystéj niwie, gdzie mę ucho bawiłem wdzięcznym ptaków spiewem, gdzie wzrokiem łakomym, chciałem zabrać wszystkich kwiatów kolory, gdzie nie raz nad Dniestru brzegami, to wszystko co drogie, rozmierzałem okiem; na téj niwie po któréj szczęsny chodząc, mawiałem żeńcom: Bóg w pomoc, a oni mi dziękowali, gdzie młodość mą przebyłem: odżyję znowu, gdy się ujrzę w miéjscach szczęścia mojego, w których sądziłem że wiek cały spędzę tak wesoły i szczęśliwy; a dzisiaj! dzisiaj, łzy tylko są poprzednich nadziei dojrzałym owocem.

Długo poźniéj milczący ze zroszoną powieką, przechadzał się przy témże źródle; wreszcie, gdy się słońce już wysoko podniesło, zapuścił się daléj w kierunku bieżącego strumyka. Wkrótce, ujrzał się na łące szerokiéj, po któréj, tu i ówdzie rozrzucone byli stare, rozłożyste samotne dęby, co się zdawali bydź strażnikami tego wybrzeża; nasycając się więc

pięknym téj okolicy obrazem, usłyszał szum spadającéj wody, który mu przypomniał niedaleko młyn będący; dążył więc ku niemu.

Znalazł się tedy przy sadzawce niewielkiéj, leśnemi podsycanéj źródłami, a przy któréj, młyn i chata młynarza pięknie w cieniu wierzb wyglądali; zaszedł więc do gospodarza téj leśnéj siedziby, przyszło mu bowiem na pamięć, jak nie raz strudzony na polowaniu, przyjemnego w tém miéjscu używał posiłku.

U drzwi spotkała go młoda, hoża gospodyni, która była jeszcze dziécięciem, gdy nie raz oddychając rad był nasycać się szczęściem i pokojem duszy starego już dzisiaj młynarza: i poprosił tę o mléko i sér.

W czystéj glinianéj polewanéj misie, miał prędko przyrządzony pokarm, a usiadłszy w bujnéj trawie, jadł z taką przyjemnością, jakiéj już dawno nie doświadczał. Słońce już było z południa, a on rozmawiając ze starym młynarzem, z zdrowémi i raźnemi dziatłachami, ledwie wspomniał sobie, o potrzebie powrótu; jakoż, czule pożegnawszy szczęśliwą rodzinę,

udał się tąż samą którą przyszedł ścieżką: niedaleko jednak był jeszcze uszedł, gdy usłyszał myśliwską trąbę, i gdzie niegdzie odzywających się harmonijnie gończych; rychło później zoczył przedzierającego się przez krzaki myśliwego.

Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, i sarmackiéj budowy, strzelbę miał zawieszoną przez jedne ramie, torbę przez drugie, przy któréj lis i trąbka uwiązane, zwieszały się, pięć ogarów zmordowanych ziewając pianą szły posworowane przy boku.

— Pan zapewne nie jeden poluje, zapytał Wacław zbliżywszy się doń, wdali bowiem słychać jeszcze trąbkę i głosy myśliwych?

— Nie, nie jeden; odpowie zapytany, jest nas cała czereda: zakańczamy imieniny Podstolego.

— A czy zdrów pan Podstoli?

— Jak rybka mój panie; sam nawet jest z nami.

— Dawno go już widziałem, musiał się znacznie odmienić.

— Właśnie w porę masz pan ochotę widzieć go: niedaleko ztąd przy źródle będziemy podwieczorkować, i zapewne Podstoli musi już tam ze swojemi wypoczywać. Ściągam teraz ogary, iżby nie płoszyli żwierza.

Idąc tedy Wacław już w towarzystwie, rozmawiał o polowaniach, o których rubaszny dużo prawił; był to albowiem jeden z bractwa owych zawołanych myśliwych, którzy na konto swego powołania prawią o wielu niebywałych na świecie rzeczach, którym jednak, niechcąc ich ściągnąć na siebie uraz, należy potakiwać; Wacław zaś wiedząc doskonale ten przywiléj, wypełniał nieodbicie potrzebny warunek.

Nagle od strony w którą dążyli, powstał wrzask; a liczne powtarzanie wyrazu: *pilnuj*, *pilnuj*, oraz harmonia zmieszanych głosów gończych, dały znać o będącym w bliskości żwierzu: rumieniec ukontentowania rozlał się po ogorzałéj twarzy myśliwego, ujął co najprędzéj za sworę będące przy sobie psy, zdjął z ramienia strzelbę i stanął spokojnie za klabem leszczyny. W chwil kilka mgnął w za-

roślach przemykający się zając, myśliwy zmierzył doń, strzelił, i donośnym głosem zawołał: *na upadł! na upadł! na upadł!* a nim zdołał dójść do zdobyczy, już kilkanaście ogarów okrążyło poległego.

— Gdzieś przy źródle musieli go spłoszyć krzykiem; przemówił Wacław, gdy ten uwiązywał przy torbie zająca.

Rubaszny za całą odpowiedź, uderzył w trąbkę, a miły z niéj wydobyty dźwięk, rozlał się w powietrzu, i potrząsł chropawémi skały; tym czasem odtrącony od nich, niedługo kołysał się nad ziemią, bo go echo pochwyciło skwapliwie, i znów kilka kroć w drugie zanosiło miéjsca; wreszcie zewsząd odbity popłynął wzdłuż doliny, a tam wkońcu jeszcze się raz ozwał, i już w głębi lasu utonął.

— Zapewne przy źródle musieli go spłoszyć; powtórzył dopiero głaszcząc psy. Co też bo dzisiaj tych *kopyr* zamęczyliśmy! Ale to nie powierzy pan, że zrana nie było nawet czasu strzelb nabijać. Grackoż bo i psiska pomęczyli się: tu, tu, tu, spiewak, tu zagraj,

tu lutnia; i począł ciągnąć regestr psów, ich genealogię i chwalić nieoszacowaną każdego dobroć.

Znalezli się przecież na otaczającéj źródło równinie.

V.

Cały plac przy źródle nam już znajomym, był zapchany myśliwémi: porozkładane w kilku miéjscach ogniska żarzyły się, przy których, zręcznie uwijając się kucharze, zajęci byli przyprawieniem zwierzyny; na rozesłanych dywanach pod lipą, wypoczywała wyższa czereda myśliwych, wesoły czyniąc gwar przy kurzących się lulkach i niepełnych już butelkach; czeladź zaś, osóbno przy powozach, wśród zgrai psów i koni, także gwarząc o wydarzonych na polowaniu okolicznościach, często wesołémi śmiechy napełniała powietrze.

— Oho! Doroszeńko! zawołali niektórzy,

do zbliżających się, Wacława, i znajomego nam cokolwiek jego towarzysza; ukarałeś go przecie; ale to przez te dywany, pomiędzy nas się przemknął.

— Trudnoż mu było darować; odparł Doroszeńko, gdy i mnie także pokazał się na oko: byłbym jednak prześlepił, lecz omykiem błysnął po pod oczy, drasnąłem więc go za to kilką, po skokach i pacierzu srócinami.

— A! a! a! Mocymrodzieju! witajże, witajże tak dawno widziany szanowny Norsztynie! Jakimże to trafem? zkąd cię to Pan Bóg Mocymrodzieju do nas przynosi? krzyknął wstając z grona myśliwych Podstoli; i z oznaką radości, czule witał i ściskał Wacława.

— Tylko co dzisiaj wjechałem w granicy Podola; odpowie Wacław. Przejeżdżając po pod las, przypomniałem, jak to nie raz w tych pięknych okolicach wesoło się polowało; miłą więc miałem przechadzkę, bo jeszcze od rana między temi górami.

— Ależ Mocymrodzieju postarzałeś się, postarzałeś się znacznie; i powiém prawdę, że

tak wprawnego w myślistwie potrzeba oka, jakie u mnie, iżby cię poznało.

— Ha! czas nam panie Podstoli; sam także nieodmłodniałeś! Szczęśliwy jednak jesteś, dodał westchnąwszy, zawsze przyjemnie i wesoło czas spędzasz.

— Cóż Mocymrodzieju! kiep świat, co użyjem to nasze. Rekomenduję panom, rzekł, obracając się do gości, naszego Podolaka Wacława Norsztyna. Siadajże i odpocznij z nami!

Towarzystwo Podstolego myśliwskie składało się z saméj młodzieży; jedni więc wstawszy, drudzy niewstając skłonili się Norsztynowi, ten także pozdrowił ich tylko ukłonem, nie było bowiem żadnego któregoby znał bliżéj.

— Jednak, rzekł, obracając się do Podstolego, niedługo zabawię u ciebie, i w tak przyjemném towarzystwie.

— A to dla czego Mocymrodzieju? zapytał prędko.

— Dzień cały ludzie z końmi czekają na gościńcu, odpowiedział, i sam także mocno jestem spragniony do domu: dawno go opuściłem.

— A! a! a! Mocymrodzieju! co z tego to nic nie będzie! Héj Sebastianie! zawołał na stojącego służalca, czy poznałeś naszego gościa?

— Poznałem Jaśnie Wielmożny Panie, tylko pan Norsztyn coś znacznie się odmienił.

— Jakże się miewasz poczciwcze? Odmienił się? powiedz raczéj postarzałem się.

— Na naszym gościńcu Mocymrodzieju, rzekł do Sebastiana Podstoli, pana Norsztyna są konie; pojedź i rozkaż byśmy ich wieczorem znalezli u nas. Nie puścimy cię już Mocymrodzieju, o! nie puścimy! musisz przecie z nami czas jakiś zabawić. Dziękuję ci Doroszeńko żeś mi go przyprowadził.

— Pan Norsztyn sam przyszedł; odrzekł Doroszeńko: był to bowiem powiernik, czyli jak dzisiaj, sekretarz Podstolego. Spotkaliśmy się tylko przypadkiem; dodał.

— O! takie przypadki rzadko się trafiają! Jakżem kontent Mocymrodzieju, zabawimy się po dawnemu.

— Mocno ci dziękuję za twą dobroć; jednak

koniecznie muszę jechać: nie uwierzysz ile mam obowiązków do prędkiego bycia w domu.

— O! co z tego to nic nie będzie. Héj Sebestianie!

— Już odjechał ozwało się kilka głosów.

— Tak, tak, kochany panie Wacławie; chociaż bez chęci, a zrobiłeś mi wielką niespodziewaną pociechę.

— Sam miałem, osiedziawszy się cokolwiek w domu odwiedzieć ciebie; o dawnéj naszéj zażyłości i przyjaźni, nie sądź bym zapomniał.

— Ależ kiedyby to było Mocymrodzieju! A gdzież Wójcio? Ignacy gdzie Wójcio?

— Jeszcze nie przychodził; musiał się gdzieś w kniei przyzostać, odpowiedział służalec.

— Wszak jesteście przecież znajomi z Wójciem. Tożto stary będzie kontent Mocymrodzieju, że cię tu znajdzie.

— Ja nie mogę dadź panu konia! mówił żywo wąsaty Masztalerz, do idącego obok młodzieńca; wszak słyszałeś pan wyraźny w tym dla mnie rozkaz Podstolego.

— A toż co? zawołało kilku z młodzieży; Husarz chce odjeżdżać?

— Co? odjeżdżać? powtórzył Podstoli: broń Boże! Słyszysz wąsaty, nikomu koni — razem wszyscy pojedziemy; i to do mnie.

W tym z kwaśną miną młodzieniec porzucił upartego Masztalerza, a przystąpił do Podstolego, i prosił o wyłączenie go z pod ogólnego prawidła. Długo Podstoli i wszystka młodzież, nie zezwalali na prośbę; wreszcie, gdy ten przełożył obowiązki służby dla spełnienia których nieodbicie potrzebném jest to, iżby ich pożegnał; Masztalerz otrzymał rozkaz wydania konia: młodzieniec dosiadł zręcznie żartkiego karosza, i chyżością strzały, z podziwieniem wszystkich, posunął się wzdłuż stroméj w zaroślach ścieżki. Norsztyn ciekawie, z wyrazem zadziwienia wpatrywał się w twarz Husarza proszącego Podstolego o konia: zdawało mu się, iż gdzieś podobną widział. To oko pełne ognia, te policzki z żywym rumieńcem, ten wąsik czarny tylko co wydobywający się z wargi młodzieńczéj, to

czoło charakteryzujące, przypomniały mu nawet człowieka, z którym, niegdyś w bliskich był stosunkach; a mimowolnie cała przeszłość jego, jak błyskawica mgnęła w pamięci.

— Jaki to młodzieniec? zapytał Podstolego, wtenczas, gdy słychać tylko było tentent pędzącego przez las rumaka.

— Poczciwy jakiś chłopczyna; odpowiedział, służy w Husarzach. Jedną razą przyjeżdżał do mnie na polowanie z swym Chorążym, i mocno go polubiłem: wczoraj przyjechał także do mnie i przywiózł mi od swego Chorążego powinszowanie imienin; nie wiem kto on zacz, a co mi do tego? dobrze strzela, jeździ na koniu dzielnie, to i dosyć bym go polubił.

— Ot idzie już pan Szambelan, ozwało się kilka razem młodzieży.

Z za gęstych krzaków, wązką, kręcącą się z góry ścieżką, schodził pomału starzec, kurząc lulkę i strzelbą się podpierał. Był to niegdyś człowiek możny, lecz jakimś przypadkiem, spełzła jego fortuna, a chociaż dalekim był krewnym Podstolego, mieszkał jednak przy nim;

i staruszek poczciwy, wieczorem tylko służył do liczby amatorów drużbarta. Podstoli, jako krewnego zwał Wójciem, a dwór cały, i znajomi tytułowali Szambelanem.

— A! a! a! Szanowny Wójciu! wykrzyknął Podstoli; mamy Mocymrodzieju zacnego niespodziewanego gościa: czy też go poznasz Mocymrodzieju?

— Jakże go nie poznać? rzekł starzec, spiesznie idąc do wstającego Wacława; jakimże przypadkiem, pan Norsztyn? i ściskał go trzęsącemi się dłońmi.

— Jeszcze przecie widzę cię żywym, kochany Szambelanie, przemówił Wacław, czule go ściskając.

— Wszak to kopa już lat; mówił starzec, a postarzałeś się coś bardzo! Chyżym krokiem, jak uważam, przyśpieszasz podobieństwo do naszych bielejących się jak kot jesienny czupryn.

— Są to skutki zapewne, odparł Wacław, śmiejąc się, żem za młodych lat lubił polowanie.

— Ale jakie Mocymrodzieju polowanie? dodaj, na dziewczęta, na dziewczęta! Siadajże, siadaj Wujciu! Ależ kto z nas nie był podobnym myśliwym? nie prawdaż Wójciu? Teraz panowie, rzekł, obracając się do młodzieży, zastąpiliście nasze miejsca; a co, czy nie tak może? ha!

— A trafiają się knieje w których nie odbiega się od hożéj sarneczki; przemowił jeden z grona młodzieży: ci albowiem osobną byli zajęci pogadawką.

— Hej! Sebastianie; albo ty Ignacy! cóż patrzysz? u panów próżne szklanki. Lecz my Mocymrodzieju, dodał obracając się do Wacława, ciągnęliśmy już po staropolsku wino; koléj teraz na was. Wójciu, każ dadź, czy pamiętasz jakie pan Norsztyn lubił? lecz to wszystko jedno, czém bohat tém i rad.

Ignacy podał butelkę z cieczą, a poznéj jął się napełniać powypróżniane myśliwemi szklanki; gdy tym czasem Wacław, winszując imienin Podstolemu a Wójcio przyjazdu

Wacławowi, spełnili ogromne, tylko do knici służące puhary.

— Dzielneż bo mieliśmy dzisiaj Mocymrodzieju polowanie; na każdego z nas, prócz wilków i lisów, można jeszcze liczyć po kilka *kotów*, a wszystkie jak barany! Niechże kto z panów powie, czy nie umiem karmić w moim lesie zwierzyny? Pan Julian zdaje się tylko jednego, i to ja skaleczyłem.

— Gdym stał przy Podstolim to tylko jednego; odparł jeden z grona myśliwych, bo też trudno było! Podstoli ciągle hałasował, gadał, i tym sposobem odpędzał, co szło na nas; a dla tego nie ja, lecz dobry humor Podstolego temu winien; zdaje się atoli że i pan żadnego nie ubił?

— Ależ Mocymrodzieju, jak to nie? przecież kilka postrzeliłem a drudzy tylko dobijali, lecz i ja temu także nie winien a Wójcio w złym bowiem postawił mnie przesmyku.

— Mnie zdawało się bydź bardzo dogodném to położenie, gdzie zrana Podstolego umieściłem; przemówił starzec.

— A, tak! gdzie zrana byłem Mocymrodzieju, to nie złe sobie miejsce, więc też i strzelałem; nie prawdaż panie Bronisławie?

O! i jeszcze jak głośno! odpowiedział jeden rubaszny kurząc lulkę; mnie zaś było z tém bardzo dobrze! Podstoli rozmawiałeś z Julianem, i ogary gdy przypadkiem jakiego głuchego kota na nich napędzą, Podstoli głośno wystrzeli, i ten na mnie leci, ja stuknę i trup.

— A tak! gdybym nie strzelał, więcbyś i pan nic nie ubił: zawsze pierwéj skaleczyłem; i bez pańskiego wystrzału, jużby go same złowiły psiska. Ale to rzadko, rzadko panie Wacławie tak dnia szczęśliwego! — A, nie od rzeczy będzie opowiedzieć panom jakie miałem w tym roku wydarzenie.

— Oho! już pewnie panie Podstoli chcesz począć coś po dawnemu, przemówił Wacław.

— Ależ Mocymrodzieju rzeczywistość, rzeczywistość na honor! i kłamstwa mi pewnie nie zadasz gdy opowiém. — Otoż jakoś wkrótce po trzech Królach, począł mówić Podstoli,

śnieżek Mocymrodzieju w nocy przepruszył, a rano tęgi chwycił mrozisko; żal mi było ponowy: chociaż mroz, rzekłem do Sebastiana, zabierz jednakowo psy, i pójdziemy we dwóch przynajmniéj a pewnie że niedarmo. Poszliśmy tedy, i powiem panom, że godzin kilka psiska wycierali po kniei Mocymrodzieju, a kota ani zobaczyć! Wyobrażcie sobie panowie: to są czary, pomyśliłem Mocymrodzieju. Mówię tedy do Sebastiana: zatrab Mocymrodzieju, ruszymy do domu! Sebastian ujął trąbkę, przyłożył do ust, i zdaje się że gra, lecz ja nie słyszę; krzyczę: trąb Mocymrodzieju, niech się psy zéjdą! On znowu przyłożył do ust trąbkę, i zdaje się dmie ledwie nie pęknie, a ja nic nie słyszę; mówi nakoniec, widzę że rusza ustami; ja nic nie słyszę: skinąłem więc ręką i poszedłem do domu, nie mógłem pojąć Mocymrodzieju coby to znaczyć miało: czary, pomyślałem, i basta! Tymczasem Sebastian został w kniei, i jakimś tam sposobem aż wieczorem poprzyprowadzał psiska. Pytam go czyś oniemiał Mocymrodzieju? A ja nie wiem Mocy-

mrodziejn, ja krzyczałem na całe gardło, mówi, a pan cóś nie chciał mi odpowiadać. A! to nas ktoś poczarował, rzekłem, kiedyś nie oniemiał; i długo to było dla mnie bardzo ciemną zagadką. Lecz coś w parę tygodni był dzień pogodny Mocymrodzieju, i ja wyszedłem przechadzać się; słyszę, ktoś trąbi w kniei, ba nawet słyszę, jak ogary gonią: ktoż to, pomyśliłem, o téj porze i bez mego pozwolenia w moim lesie smiał sobie pozwolić polowania! Héj! zawołałem na służbę i sam z niemi Mocymrodzieju pośpieszyłem do lasu, ukarać tych śmiałków. Rozsypaliśmy się wszyscy po kniei, szukamy, lecz nic nie widzimy, prócz mnóstwa lisów, zajęcy, i wilczory gdzie nie gdzie się przemykały. A! złość mnie wzięła Mocymrodzieju! szukam, biegam, każę szukać, biegać, ale napróżno! żadnego myśliwego obcego i psa też żadnego, chociaż ciągle słyszymy, trąbkę i głosy ogarów. Idę na to miejsce gdzie trąbka Mocymrodzieju brzmiała w ciąż, słyszę, ktoś gada, nawet krzyczy; podchodzę bliżéj, niewidzę nikogo, a trąbka brzmi, i głos sły-

chać tak wyraźnie jakby mój: trąb, trąb Sebestianie na psy, pójdziemy do domu! Czyż odgadniecie panowie, co to było? bo ja zaraz domyśliłem się.

Podstoli przestał i czekał odpowiedzi, lecz napróżno.

— A, to uważacie Mocymrodzieju! mówił znowu, przypomniałem sobie, że gdym był zimową porą w kniei, a ów tęgi mróz ścisnął powietrze, i wszystko nakoniec mroził, więc dźwięk trąbki, głos mój, Sebastiana, i ogarów zamarzł, a skoro słońce należycie przygrzało, rozmarzał się powoli.

— O! co to! panie Podstoli, podchwycił Wacław, bez wątpienia śmiało między bajki, jeszcze dobrego gatunku włożyć możemy!

— Ależ wierz mi Mocymrodzieju! Ot Wójcio zaświadczy; sam albowiem słyszał jak się to wszystko rozmarzało!

— Nie, odrzekł starzec, nie byłem pod ów czas w domu; nie pamiętam gdzie wyjeżdżałem,

— Tak, Wójcio nie był w domu, powtó-

rzył zmarszczywszy brwi Podstoli; ależ Mocymrodzieju cała wieś słyszała i wie o tém doskonale!

— Tak, tak, rzekł, podtrzymując Doroszeńko, co Podstoli opowiadał jest najrzetelniéjszém! sam świadkiem byłem.

— Ależ tak Mocymrodzieju! wszak prawda, przypominam sobie, iż byłeś właśnie pod ów czas z nami: lecz któż temu nie powierzy? Ależ nawet cała wieś Mocymrodzieju!

W tém, oznajmiono, że dwóch nowych gości przybyło. Podstoli w sam czas obéjrzał się i widział już ich przy sobie.

— A! a! i nasz kochany sąsiad Mocymrodzieju, i pan Cukierman; witajcież, witajże poczciwy Mazurze! A dla czegoż to, wczoraj, jak Pan Bóg przykazał do nas nie przyjechał.

— Zahulaliśmy u Chorążego na weselisku, odpowiedział, zbliżający się olbrzymiego wzrostu i gruby jak go nazywali Mazur. Wszakci też niéma mnie dwóch, iżbym mógł jednocześnie i tu i tam się znajdować.

— Potrzebnyś bo był tam, potrzebny Mocymrodzieju! No, powiedźże nam przynajmniéj; toż to ten Chorąży Marynkiewicz musiał nadzwyczajnie dla swéj dziewczyny wystąpić? A pan Cukierman, jak też, czy zdrów? zapytał zbliżającego się Żyda, któren świeżo przyjechał. Ale żeś wczoraj porządnie był cięty!

— Zdrów panie Podstoli, odpowiedział zapytany wesoło i poufale. Za zdrowie piłem pana Podstolego, to i szkodzić nie mi nie powinno było.

— Coś mi nie jest obcą familia Marynkiewiczów. Kto on zacz ten Chorąży? zapytał Wacław.

— A! a! Mocymrodzieju, to musiałeś słyszeć o jego ojcu; był to poczciwy kontuszowy nasz szlachcic; ale co syn, to Pan Bóg wie do czego! Służył on to gdzieś tam w wojsku, i był wszystkiego towarzyszem, tytułują go przeto Chorążym, i wszakże to nic nie szkodzi, kiedy on się nie uraża Mocymrodzieju. Uważasz tedy, przywiozł był sobie z Wielko-Polski żonę i piękną i rozsądną kobiétę, lecz

Mocymrodzieju, zajechało mu coś w głowę, że jednéj żeń nie dosyć: no! dobrze, wszykże to i my byliśmy kiedyś nie bez grzechu; nie prawdaż Wójciu?

— Prawda, prawda; odpowie starzec, jeszcze i teraz chociaż już siły nie wystarczają, a często robimy na złość Panu Bogu.

— Tak, jeszcze i teraz, ale nie wszyscy Wójciu. Owoż Mocymrodzieju, mając taką żonę, trzymał ekonoma z córkami, z których, jednę sobie upodobał; mniéjsza o to! upodobał, to niechby sobie już tam i kochał; lecz powinien był starać się ukrywać przed żoną to kochanie; on zaś jak na złość téj kobiécie, żył z nią prawie widocznie Mocymrodzieju: trzebaż znowu drewna iżby tego nie uczuć! Płatałaż ona nieboszczka wet za wet jemu figle! lecz on tym czasem na to nie zważał, a swoje broił. Czegoż znowu Mocymrodzieju kobiéta gdy się rozpasionuje, nic dokaże; jeszcze też nieboszczka bardzo go głupio kochała! obrażona więc miłość własna, iż nad nią żonę, a jeszcze Mocymrodzieju piękną jakąś brzydkę nierządnę

przekłada dziewczynę, zrobiła ją dziwaczką, następnie i o suchoty przyprawiła! Długo wszakże biédaczka męczyła się; a w tym roku przecież jakoś już nas porzuciła, a przeniosła się niby to do lepszego Mocymrodzieju świata. Wdowiec tedy świeży, prawie nieostygłego trupa zostawiwszy w domu, pojechał traktować o nowych ślubach z tą dziewczyną, chociaż prawdę powiedzieć, musiały to już i dawniéj bydź względem tego układy; czekano tylko jak mi się zdaje śmierci nieboraczki! Koniec końców, bom się już bardzo a niepotrzebnie rozgadał, że oto, nie wyszło dwa jeszcze tygodni jak księża pili na żony jego pogrzebie; patrz, wczoraj już pili i na szlubie.

— A jakie on ma imie? zapytał Wacław.

— Jak cię z duszy kocham, Mocymrodzieju, tak nie wiem. — Héj! dajcie no nam już wódki!

— Zdaje mi się, że to bydź powinien ten sam którego znałem w Warszawie.

— O! był on, był w Warszawie Mocymrodzieju! Mało ja go znam; z ojcem to żyliśmy w przyjaźni: był to poczciwy nasz kontuszowy!

ale co synaczek, to Pan Bóg wie do czego! Fuma niesłychana! Zostawił mu stary szczupły fundusik, i paniczyk jakoś jeszcze potrafia się na wielką utrzymywać nogę: wszakże to nikt nie wie o jego grzechach, jak to powiadają, których, już pewnie nie mało na szyję naciągnął. Potrafił jednakowoż zyskać sobie względy niektórych naszych sąsiadów, i żył po obywatelsku: lecz to dzisiejsze szaleńskie małżeństwo, wszystko mu Mocymrodzieju popsuło! Mógł ją sobie utrzymywać jak i pierwéj, wszakże nikt nie zazdrościł! A teraz, kto z nas zechce bydź kiedy u niego.

— Juściteż panie Podstoli bardzo srogo sądzisz, ozwał się Mazur, kto wie, czy długo wałęsalibyśmy się wdowcami, gdybyć to nas kochane nasze zechciały porzucić żoneczki! Coby to się stało z Alexandrą, Elżbiesią, ha?

— Przecież, jak powiedziałem Mocymrodzieju, nikt z nas nie bez grzechu; ależ od czego znowu jesteśmy mężczyzni? U kobiét tylko długie włosy a krótki rozum.

— Oho! odparł śmiejąc się Mazur, przy

długo-włosych, często i krótko-włosy, alboli też i zupełnie łysi stają się głupiémi.

— Ależ nie wszyscy Mocymrodzieju! Héj! dajcież nam gorzałki; a i jeść może już gotowo? No! cóż panie Norsztyn, czyż nie wesoło zabawiamy się? Przypomina to dawne czasy!

— Sądzić wszakże mogę, odpowie Wacław, że i przedtém, i teraz, i zawsze żyjesz, po terazniéjszemu.

— Ha! cóż robić Mocymrodzieju? kiep świat, co zjemy i wypijem to nasze; po śmierci wszystko wrogi zabiorą.

— Jeszcze panie Podstoli i przed śmiercią zabierają; zagadł trąbiąc w niepróżny kufel Doroszeńko. Mnie dzisiaj z pod nosa chwycił pięknego lisiurę pan Julian.

— To prawda! ozwał się z drugiego końca myśliwy, pięknegom mu figla wypłatał. Uważacie panowie, skorom uciekł od Postolego, przedarłem się tam gdzie on stał; słyszałem bowiem że często strzelał i krzyczał: *na upadł!* zakredłem się tedy może dwadzieścia o deń kro-

ków pod krzakiem, i czekam azali czego nie obaczę: patrzę, mój Doroszeńko wyciąga szyję jak żuraw i przykłada strzelbę, zazieram, gdzie? do czego? aż tu lis piękny jak sybirski ciągnie; chociaż daleko jeszcze był, lecz na los szczęścia stuknąłem i jak długi. O! dowoliż się uśmiałem! Dałem mu przeto pod nos dla orzeźwienia się koniec wybornéj kity — (ponieważ się przelękł) mówił że fijołkami pachnie.

— Jednakowoż sądzcie panowie jak chcecie; wymruczał Doroszeńko, a ten lis ukradziony odemnie: i pan Julian powinien się z tego oczyścić na spowiedzi.

Tym czasem podniesiono wódki, i myśliwi przy wesołych żartach wypróżniali ogromne puhary, zaś służba zastawiała na długim stole różne potrawy i wina, a któremi go szczodrze z łaski gospodarza obciążono. Szczęk, gwar, śmiech, szum, zmieszane w jedno, dziwną, niepojętą harmonią napełniało powietrze.

Na stole prócz żwierzyny, i domowe znajdywały się zapasy: były cudne hultajskie bigosy, ozory, bogate półgąski, szynki wędzone,

słonina z czostkiem; karp zaś niezmiernéj wielkości zdobił serwis.

Pożerano to wszystko łapczywie zgłodniałą czeredą przy częstém znikaniu ze stołu butelek; przyszła wreszcie koléj i na karpia, a wielkość jego, i wyborny smak kucharza w przyprawie, byli powodem uwielbiań gastronomów; Podstoli zaś wiecznie wesół, ciągle gadał, śmiał się i wrzeszczał.

— Ależ panowie muszę wam oznajmić, mówił, gdy się wzięto już do karpia, jakiego to rodzaju ryba na stole! Bo to już będzie lat z piętnaście, gdym jechał do Krakowa, stanąłem w pewnéj pod Lwowem karczmie u Żyda na noclegu: a był to szabas Mocymrodzieju, i dziwnie smacznéj ryby poczułem zapach, jakoż rozkazałem sobie téj podadź. Z nadzwyczajnym tedy apetytem, zajadałem, z cebulą i suto opieprzonego pod chrzan z burakowym kwasem karpia. Lecz coś w godzinę poczułem jakąś niestrawność, osądziłem więc za potrzebną spożyć z méj apteczki, (a którą zawsze wożę przy sobie) mixturkę pod nazwiskiem *wody*

wiedeńskiéj. Konsyliarz gdzieś był wyszedł; rozkazałem więc przynieść apteczkę Mocymrodzieju, i zażyłem koniecznie potrzebnéj. No, już tu zapewnie nie powierzycie! ale wyraźnie panom powiadam, że niewypowiedzianie gorący poczułem w sobie ogień — to jest, paliło mnie żarem: splunąłem — wyobraźcie sobie, ogniem, płomieniem; przelękłem się Mocymrodzieju; wytrzymać nie mogę, rzucam się w żydowskie bety, i ciągle pluję; ale to gdzie plunę to wszystko palę, bo ogniem; i tak: krzesła palą się, stoły palą się, łóżko pali się, sufit pali się, podłoga pali się i ja sam palę się; krzyczę gwałtu! Mocymrodzieju, przecież to, myślę sobie, nie są żarty! przybiegają lokaje i Konsyliarz, a ten ostatni zawsze przezorny, spójrzał do apteczki, zmarszczył czoło, a ja ciągle pluję ogniem, i wszystko, gdzie tylko Mocymrodzieju plunę, palę! Prędko więc kochany Konsyliarzysko dał mi coś z drugiéj buteleczki, i nuż ja womitować; ale to Mocymrodzieju cały pokój samémi zasłałem karpiami, i to co dziwniéjszego, że wszystkie żywe. No! lżéj mi się cokolwiek

zrobiło, odetchnałem — już mówić mogę; pytam tedy doktora: — Co to znaczy? — A! powiada, panie Podstoli, w miejscu *wody wiedeńskiéj*, pociągnąłeś sobie dobrą dozę *vitri-oleum*. — No! pomyślałem, szczęście że na tém się skończyło! Ale cóż znowu z tą rybą począć? Otoż kazałem pozbierać, i pięć cebrów żywych naskładano karpiów — niéma co; rzekłem, i kazałem te do mojego odwieść stawu! transportem zajął się jeden z lokajów; w ogromnych więc kadziach, przywieziono do mojego majątku, i żywe *nota bene* wpuszczono przy moim dworze. Ten więc którego zajadacie, jest z tych samych: gdy go złowili, cały był mchem porosły! i podobnych tylko na ważne okoliczności, tylko dla moich każę imać przyjaciół.

— Smacznyż bo ten karp, odrzekli niektórzy, ale to zapewne z téj przyczyny, że z pokolenia pana Podstolego!

— Jednak nielitościwy jesteś, ozwał się Wacław, swoje pokrewne roskazywać tak płatać i warzyć, przedewszystkiém należy pamiętać, że to są dzieci, a jeszcze takie, które gardłem rodziłeś.

— Ale Mocymrodzieju dla dobrych przyjaciół, nic nie żałuję, nawet siebie, po śmierci — wszystko wrogi zabiorą! — Héj! wina więcéj Ignacy! Wójciu, pilnuj bo, niech Cukierman nie próżnuje.

Podstoli kilka kroć ponawiał podobny rozkaz, Ignacy też kilka kroć wypełniał; z czego wypadło: iż na stole nic więcéj prócz butelek nie było. Nie było też przy końcu komu i porządku pilnować; bo i Podstolemu, i Doroszeńce, i Ignacemu, i prawdę powiedzieć, wszystkim, dzielnie się z czupryn kurzyło. Strzelano poźniéj na wiwat, trąbiono, krzyczano, śpiewano — Było to niezmienne myśliwskie chaos! dość powiedzieć, że Żyda Cukiermana przymuszono strzelać; i chociaż to było bez żadnego ze strony Jerozolimczyka wstrętu, jednak z wielką dla wszystkich pociechą.

Słońce już zupełnie się skryło za góry, gdy cała myśliwych drużyna wyruszyła przecież do blizkiéj wsi Podstolego, w któréj mieszkał na wypoczynek.

VI.

Mieszkalny dom Podstolego, był to obszerny starożytny budynek, w około którego, wznosił się wysoki parkan, a w nim czerniejące się odwieczną pleśnią strzelnice, świadczyły, że to miejsce musiało bydź kiedyś schronieniem i razem obroną, od częstych a niespodziewanych, dawnych wieków napadów wroga. Na wzgórku od strony ogrodu, stérczała jeszcze olbrzymia bez dachu z wieżycami baszta, wzniesiona, na obszernych i częścią już zapadłych lochach: po prawéj stronie tego zamczyska, w dole, uśmiechały się bielejące włościan chatki, za któremi, jak okiem sięgnąć można, złocili się w obszarze kłosy zboża; po lewéj, błyszczało jezioro, a za

jeziorem szumiał już las ciemny, drzemiący, a czarny bo dębiną zasiany.

Zahuczały przywykłe do wesołych odgłosów komnaty Podstolego: w domu tym albowiem, przy tych wszystkich starożytności zabytkach, zachowała się jeszcze owa, dawna dla wszystkich bez braku szczera, otwarta gościnność. Muzyka brzmiała wciąż, a rażna młodzież rozochocona uprzéjmością gospodarza, nie myśląc już o potrzebnym po całodziennem utrudzeniu wypoczynku, należycie umiała podtrzymywać jego wesoły humor. Rozrzuceni po licznych i obszernych pokojach, zajęli się stosowną do swych usposobień przy kurzących się lulkach pogadawką: zaś Podstoli, z zupełném zadowolnieniem, koleją zaglądał w każde koło młodzieży, i donośnym śmiechem lub słowy, twierdził, albo też przeczył w niektórych ich zdaniach, i wcielał się niejako duszą w sposób myślenia młodzieńczy.

Niebawnie, naprzód ścicha, następnie, co raz wyraźniéj, rozlegał się w okolicy i dolatywał do komnat Podstolego przez otwarte okna,

śpiew, powracających z niwy włościan; a nowoprzybyły, z bizunem w ręku (zapewne dla formy) ekonom, oświadczył Doroszence, że poddani Podstolego przez życzliwość ku swemu panu, do późnéj nocy zostawali na łanie, i nadspodziewanie jego, dopiero przy świetle księżyca ukończyli żniwo pszenicy; a dla tego, w darze i z powinszowaniem dożynków niesą według zwyczaju uwity wianek z kłosów tegoż zboża.

Doroszenko nie omieszkał wnet o tém oznajmić Podstolemu, ten zaś uradowany nowéj zabawy powodem, w minucie przesłał ową po wszystkich komnatach wiadomość, i w gronie towarzyszącéj młodzieży, skwapliwie wyszedł aż w bramę swojego dziedzińca, na spotkanie wiernych mu i lubiących go kmiotków.

Jakąż się przejęły radością serca poczciwych chleborobów, gdy ujrzeli swego pana z rozpogodzoném czołem i duszą swobodną? Całodzienne ich w dzień skwarny trudy poszli w niepamięć, i stokroć gotowi na nowo cięższéj jeszcze jąć się pracy, gdyby ich znowu spotkało podobne oko pańskie.

Wy, srodzy ciemięzcy ludzkiego rodu, niebaczni na ciasny węzeł braterstwa z biedniéjszym od siebie ludem, nigdy téj radości pojąć nie zdołacie; nigdy do waszych uczuć serca poczciwych nie przemówią wieśniaków! Dumą napojeni, patrzycie na nich jako na stworzenia które powinny wiecznie czołgać się pod waszémi stopy, wiecznie zgadywać wasze myśli, najmniéjsze skinienia, a najczęściéj może zbrodnicze, z bogatéj waszéj wynikłe fantazii ze ślepém wykonywać posłuszeństwem. Pomiatacie niemi, jak drobnym pyłkiem północna burza, a za lada najmniéjszém niedogodzeniem niezbadanéj woli waszéj, nie pomni na ułomność człowieka, sypiecie na nich gradem kar barbarzyńskich swoich wynalazków; i chociaż krwią ich tuczni, potem odziani, nędzą bogaci, nigdy nie darzycie ich pogodném czołem, łaskawém spójrzeniem, przyjaznem słowém! — Lękacie się pozwolić im jednéj chwili błogiéj, w któréjby mogli pomyślić że i oni są ludźmi — braćmi naszymi!

Podstoli pomimo niektórych przywar, kochał

swoich poddanych, uczuł dla tego tę roskosz o tyle, o ile może uczuć człowiek poczciwy na widok serc sobie przyjaznych. Okolony kmiotkami, potrafił zastosować się w swoich z niemi poufałych rozmowach, nie ubliżając ni płci ni wiekowi: tym czasem, długo mu jeszcze przyśpiewywały dziewczęta, nim wreszcie zbliżyła się doń jedna i uchyliła głowę ciężarną wiankiem z kłosów pszenicy, prawiąc, wyuczona od starszych krótką wierszem przemowę, co miało znaczyć powinszowanie.

Podstoli przyjął wianek z głowy nadobnéj dziewicy, ucałował ją w czoło, a oświadczywszy dzięki całéj gromadzie, prowadził tę do swoich komnat.

Prędko dla nich przyrządzoną była wieczerza, a i piwnica też gospodarza długo stała otwartą: następnie, młodzież wieśniacza zajęła się tańcami; w końcu jednak Podstoli czując się bydź już znużonym, oraz widząc nieśmiałość ku zabawie swoich żniwiarzów, czule im za wszystko podziękował, i dał rozkaz swéj mu-

życe, iżby noc całą w karczmie przy niéj zabawiali się jego włościanie.

Nie wstydźmy się, a zajdźmy tam, gdzie Podstoli wyprawił swoich poddanych! Zajrzyjmy, chociażby tylko z ciekawości do karczmy, i popatrzmy na tych ludzi, których dusze rozpromieniają się na twarzach i wybijają na nich piętno anielskiego oblicza. — Popatrzmy naprzykład: ot na tego starca, który usiadł na długiéj ławie w śród swoich dzieci, już ojców — jak on spokojnie kurzy lulkę, i gwarzy z niemi, tylko o wczorajszym deszczu i dzisiéjszéj pogodzie: popatrzmy na jego niezasępione czoło, pokryte kilką włoknami siwizny, jaka na niem rozkwita swoboda! popatrzmy na lice jego zorane latami, na lica, wespół z nim rozmawiających jak te, miłe barwi uśmiech wiosennego poranku. Następnie, popatrzmy, na tę już dojrzałą matkę, otoczoną gronem hożéj dziatwy, i zajrzyjmy z roskoszą we zwierciadło jéj duszy; a czy znajdziemy choć jednę mgłę któraby mroczyła pogodne jéj życie? Albo też, spójrzyjmy, ot na tego młodziana, wychowańca natury,

wypieszczonego na miękkich łąk kobiercach, pod bogatym pawilonem nieba, wśród roskosznych krajobrazów z duszą wolną, bujną, niekrępowaną jeszcze nigdy najmniejszym niepokojem — patrzmy, jak on w kole podobnych rowiennikow, śmiało ujął za rękę lubą sobie dziewczynę, i szumno kręci się w wesołéj *czabaraszcze* (a). A siostraż tego młodziana! hoże i rażne dziéwcze, co ma duszę tak piękną i czystą jak lice, a lice jak róża majowa, gdy się tylko co z paczka wykradnie; patrzmy, jak ona udatną ręką bez najmniejszéj obłudy, skromnie ujęła lubego, śmiało spoziera mu w oko, i drobnemi stopy lekko się kręci przy pełnym życia młodzianie — O! patrzajmy na nich długo! najdłużéj! póki oni na się patrzyć dozwolą! nie wstydźmy się, wszakże w ich zabawie nie widzimy nic zdrożnego, a nam tak rzadko z podobną zdarza się napotkać! My tu nie widzimy żadnego przymusu, obłudy, udania, lecz, szczera, prawdziwa każdemu błyszczy na twarzy otwartość.

(a) Taniec włościan Podola.

Jednakowoż to piękne towarzystwo, nie długo pozwala się nam nasycać, miłym obrazem! Jutrzéjsza pogoda, zapowiedziała im znowu całodzienną w polu pracę. — Rozeszli się więc na czas krótki przynajmniéj dla odpoczynku — karczma pusta została.

Tym czasem, w drugiéj izbie przy stole, siedziało kilku szlachty w wyszarzałych już czamarach i kilku dworskich służalców: ci spokojnie, nie troszcząc się o jutrzéjszém, ciągnęli przy żwawych rozmowach ze sporego dzbana miodek.

— A te dwa garnce, już na mnie zapiszesz, ozwał się szlachcic jeden do Żyda, który przyniosł spory dzban płynu i na środku umieścił stoła. — No! mówcie sobie panowie co chcecie; prawił tenże, a mojéj lutni, żaden pies Podstolego nie wyrówna! bo to kiedy weźmie pędzić naprzód siebie, a! to nie tylko źwierza, ale i samego szatana pod nos myśliwemu naprowadzi; dziesięć razy kołem knieję obieży, jeżeli już *kot* jaki bywalec, gracz, wykręca się od przesmyków na których rozstawieni

strzelcy: i to dopóty go będzie ścigać, póty mu nie da pokoju, aż umęczonego sama żywcem pojmie, jeżeli nie legnie od fuzyi!

— E! panie Hilary! bardzo jesteście uprzedzeni o swojéj lutni; przemówił z końca stołu, jakiś dworak, dobra suka, nie ma co powiedzieć! ależ nasz zagraj, ho! ho! nasz zagraj! to mi to pies, wasza lutnia daleko się zostanie! — i zakończył śmiechem.

— Sto przeciwko jednemu kładę, jeżeli wasz zagraj, wart nie tylko co? ale przy ogonie mojéj lutni włóczyć się! A cóż to? czy to ja nie znam się już na psach? Jeszcześ mospanie biegał w koszuli za gąsiętami, jeszcześ był, że tak powiem, małym bębnem, kiedym już słynął za dobrego myśliwego! Wasz zagraj, mospanie, pies, każden powie, że Podstolego, wszak to ten co jak wieprz tuczny, i co czarną na pacierzu, a na brzuchą *podżarą* ma koszulę, i co to jak kłoda przewala się z tropa w trop — wszakżem go widział dzisiaj; bo wlókł się ledwie i bąkał jak podstrzelony: nawet zdaje mi się że głuchy! bo gdy stracił

trop, a Podstoli dał pudło, nawoływałem go całemi piersi mospanie, nakoniec i w trąbkę! a pan zagraj, jakby nic na niego.

— Co? zagraj głuchy? rzekł śmiejąc się dworak, i sięgnął ręką po trąbkę — No! jeżeli zaraz nie przyleci? to — i zakończył zadęciem w trąbkę, a dźwięk przeciągły rogu, zagrzmiał po karczemnéj izbie.

— Co też to Michale, roi ci się jeszcze po głowie? zagadł drugi szlachcic, udajesz myśliwego, a od jednego prawie dzbana już ci coś i w głowie niestatkuje.

W téj chwili wszedł Żyd arendarz, i grzecznie prosił gości, iżby zechcieli bydź ciszéj cokolwiek, gdyż, jak mówił, jakaś wielka pani zajechała na nocleg, i on dużo może stracić, jeżeli sprzykrzywszy sobie, tak ciągłe hałasy, zechce opuścić jego austeryę i daléj pojechać.

Na tę prośbę acz grzeczną, szlachta i dworacy widocznie zżymać się poczęli; a poźniéj w milczeniu czas jakiś spozierali na proszącego.

— A toż co mospanie? krzyknął nakoniec niewytrzymawszy Hilary. Cóż to ty żydowski Żydzie, masz nas już za bajbardzo? Ach ty szubieniku! Co mi tam twoja wielka pani! Proszę, jeszcze on będzie nam tu rozkazywać? Czy wiesz ty mospanie nasze polskie przysłowie: że szlachcić na zagrodzie, równy Wojewodzie.

Wnet za Hilarym ozwało się kilka głosów, odgrażających arendarzowi; lecz ten, potrafił, znając już ich usposobienia, jakoś wszystkich ułagodzić cokolwiek.

— No! pamiętajże, mówił odobruchony już, nieco a to mospanie, jakiém szlachcic Szczepański, że z ruski wyleżysz miesiąc. Arendarz dawno już odszedł, a Szczepański jeszcze krzyczał.

— Ja ci przypomnę hultaju tę twoję owcę! Uważacie panowie! ten Żyd, coś bardzo się rozżył w naszéj wsi. Kiedyś pojechałem w pole z charciukami; a powracając, psiska się rozswawoliły, i tu przy karczmie jednę nędznę jego przydławiły owcę. Jak wyleci z karczmy!

jak narobi krzyku! — I ma tylko szczęście, żem był na koniu; a to jeszcze wtenczas, dałbym mu się we znaki.

— A czy to charty pana Hilarego, lubią polowanie na owcy? zapytał jakiś młody dworak.

— A jak się wydarzy mospanie! do wilczur z takąż samą ochotą jak i do owiec wylatują.

— Oj! charty, charty! pana Hilarego, podchwycił szlachcic z drugiego końca stołu, a osobliwie metka! co to za pociecha była, gdyśmy polowali z panem Szambelanicem.

— Nie ma się czém chwalić pan Hilary, ozwał się znowu dworak Michał; wszakże to, te charciuki z naszego gniazda po doskoczu.

— Jako żywo! co mi wasan mospanie bredzisz, krzyknął Szczepański, po jakim tam doskoczu? metkę dostałem od niebożczyka stryja, a ta z najlepszego gniazda Orłowskiego! Waszych zaś doskoczów z wami wszystkiemi, na jednéj teraz warto wywieszać gałęzi. Prawda, że Podstolego psiarnia kiedyś warta

była czegoś — lecz dzisiaj! — A mojéj lutni nie tylko wasz doskocz, juściż lepsze charty Szambelanica, a tydzień będzie jutro, jak także z takiemi przechwałkami przegrał, i szkaradnie jeszcze przegrał! Bo to gdyśmy już wyjechali mospanie w pole, moją metkę wziąłem na smycz; tymczasem, nie długo jeździliśmy napróżno, porwał się stary *kopyra*, a nawet dosyć dosiadywał, i Szambelanie należycie go *ohecował*, pożniéj hezha! hezha! hezha! nuż cała zgraja jego chartów ruszyła się, a *kocisko* odsadza, odsadza: — do lasu zaś kilka staj jeszcze było; mój bystry dał mu jeden obrót, drugi, ale *kot* gracz! wysworował się i czesze pod górę. Żal mi się go wówczas zrobiło, więc puszczam moję metkę: hezha! — Ach! jak się wyciągnie! ale to jak struna — ruchu nóg nie ujrzysz, zdawało się tylko, że jakaś szara plamka w powietrzu majaczy przy ziemi — dolatuje — jeden obrót, drugi, trzeci — łup, cup! i jest. To mi to metka! A szambelanie, zaraz swoich dwóch, niby to najlepszych chartów na pierwszéj dębowéj zostawić kazał gałęzi: zaś za

moją metkę, czy wiecie co mi dawał? Pięćdziesiąt korcy pszenicy, krzyknął śmiejąc się. Lecz mu powiedziałem, że jak dasz sto korcy, i parę marcowych od niéj szczeniąt, to oddam. — Nie chciał niby to; wiem jednakowoż, że przyszle za mną, skoro tylko ją po białéj ujrzy stopie.

— Héj! postaw no jeszcze jeden garniec; zawołał jakiś szlachcic z grona biesiadników — I ten już na mnie zakreskujesz. Tak tedy panie Hilary, jak mówiłem, i teraz proszę i zamawiam sobie jedno szczenie od twojéj metki: jeżeli nawet przefaciendujesz Szambelanicowi, to z tym warunkiem, iżby i mnie się jedno dostało.

— Obaczymy, mospanie, co jeszcze z tego będzie! odparł Hilary. — A cóż mój fryc u? przechwalałeś się, że zagraj nie głuchy; a gdzież ón, ha?

— Przybieży, przybieży: a możem za cicho go nawoływał.

W tém, ujął trąbkę, i przeciągły dźwięk rogu zagrzmiał po karczemnéj izbie.

— Do stu borsuków! krzyknął ze śmiechem Hilary; wszystkich szatanów z piekła wywołasz, a twój pan zagraj ani się ozwie.

— Muszą już bydź zamknięte psiska; wybąknął drugi dworak mrużąc ociężałe miodem powieki.

— A dobrze mówisz, podchwycił Michał, najpewniéj zamknięte.

— No, no! niech tam już będą zamknięte, a nie graj tylko więcéj, bo to trochę mospanie zs szorstka harmonia dla delikatnych uszów — łatwo możesz przestraszyć tę wielką panię. — Héj, ty! rzekł obracając się do arendarza, który niosł dzban płynu. — Czy to wielka pani u ciebie nocuje?

— Mówią lokaje że bardzo wielka; odrzekł zapytany.

— A czy zdaleka? zagadł znowu.

— Nie, nie zdaleka, z naszego Województwa; odpowiedział.

— Dajmy jéj pokój mospanie, niech sobie tam spi, bo to ci Jaśnie Wielmożni lubią w słodkich zasypiać marzeniach, a może i w najbru-

dniéjszych, dodał ciszéj; któż tam w stanie odgadnąć marzenia Jaśnie Wielmożnych — lecz miéjsza z tém.

— Słysz ty Żydzie! krzyknął drugi szlachcic do odchodzącego już. Jakże się ta pani nazywa?

— Nie wiem, odpowie zapytany, jakaś Podkomorzanka; lokaje nie chcieli mi powiedzieć gdym się pytał.

— Podkomorzanka? powtórzył Michał, to jeszcze jakaś panna. A widziałżeś ją?

— Widziałem, ale twarz miała zakrytą. Niech panowie będą spokojniéj, dodał; lokaj dwa razy już przychodził iżby o ten państwa poprosić.

— Niech tu sam lokaj przyjdzie, a my się rozmówimy grzeczniéj, po swojemu.

Arendarz wyszedł, a w minut kilka przysłał lokaja.

— Kto wasan mospanie taki? zapytał Hilary podparłszy się w boki.

— Jestem służalec téj pani, która tu nocuje.

— A ta pani?

— Jest moja pani.

— Wylazł na gruszkę i kopał pietruszkę! Cóż to wasan mospanie, kpisz sobie? a po co tu przyszedłeś?

— Moja pani, mówił służalec, przedewszystkiém lubi spokoj, lękam się więc, iżbyście panowie nie obudzili ją swemi hałasami.

— Hultaju! krzyknął Hilary — Co? swojemi hałasami?! Cóż to, chcesz bydź u nas gospodarzem? A pójdźże sobie do milion krocset djabłów! albo cię tak ofutruję, jak dzisiaj tego hycla Mykitkę! No pamiętajże! krzyknął do odchodzącego, krotofilny! Widzicie panowie! jeszcze sobie z nas chciał zażartowzć.

— Wiecie panowie, ozwał się Michał wstając z za stołu, jego pani i on sam coś wielką mnie ciekawością nabawili: pójdę no zaprzyjaźnię się z tym krotofilnym bliżéj.

— Kat ich zabierz; wymruczał ktoś za stołem.

— A za cóż to Mykitkę harapowałeś? zapytali niektórzy.

— Czyż nie wiecie jeszcze, co on zrobił? O! wszak on o mało tylko co nie ubił dzisiaj tego młodego Husarza.

— No, no! zawołali, a to jakim porządkiem?

— A przy tym wilku którego ten poczciwy Husarzysko schłostał. Owoż mospanie, ten poczciwiec stał na drodze przy głębokim jarze, w miéjscu gdzie się ciągnie polanka do leśnika chaty, a ja tam stanąłem gdzie się krzyżują drożyny do pasiek. Coś, w pół godziny po rozstawieniu się, słyszymy, gonią psy mospanie wilka, i moja lutnia poznałem, zbliska go już naciera, w tém, nagle z zakrzaku strzał; patrzę Husarzyna przysiadł i krzyknął, a tu wnet i wilczysko ogromny na piędziesiąt od niego kroków, on też co najprędzéj zmierzył się — i trup. Przybiegam, pytam, co to jest? czego wasan mospanie krzyknałeś? aż tu hultaj Mykitka wyłazi z zakrzaku, i śmiejąc się mówi: *bywaj! bywaj!* A on uważacie panowie, w miéjscu wilka tego biédaka postrzelił; szczęściem że lotka kości nie tknęła. Na cal wyżéj

kolana. Oh! jak chwycę za kołnierz, jak go poczne kolbą grzmocić, a poźniéj sworą harapować! — i byłbym mu cięgi należyte sprawił, perorując gdzie? i jak? ma stawać mospanie kiedy nie sam w kniei, ale go ten poczciwiec wyprosił.

— I cóż, czy bardzo go zranił? zapytali.

O należycie, należycie! ale to jakieś dobre panisko, jeszcze prosił iżbym przed Postolim nic o tém nie wspominał, bo wie, iżby go kazał do śmierci ćwiczyć.

— Poczekaj łotrze! zachowałeś się! rzekł Michał powróciwszy; zaraz mi tu sam przyjdziesz — Zaśpiewam ja panom piosneczkę, dodał.

— Słuchamy, słuchamy! odezwały się liczne głosy.

Michał znowu zajął dawne swe miéjsce, napełnił próżny kufel miodem, podparł się jedną ręką, i począł głośno śpiewać.

Mołodyca kiedy ciemno,
A dziweczka gdy dzień biały,
Stary miodek gdy przedemną
Nie dbam nawet o świat cały.

Z mołodycą po swojemu,
Dziewkę cmoknąć w liczko białe,
Z starym miodkiem po staremu;
Nie dbam nawet o świat cały.

A jak przyjdą głupie czasy,
Gdy do samek już nie zdały,
By przy pełnéj tylko flaszy
Nie będę dbać o świat cały!

— Brawo! brawo! zawołali zgodnie biesiadnicy.

— Jakaś cierpliwa ta wielka pani, dorzucił śmiejąc się Michał, nie przysyła tego hultaja fagasa. Niechby no kto naszemu Podstolemu tak gdzie w karczmie na noclegu zahuczał! Ale poczekaj, musisz ty mnie sprezentować się.

To mówiąc, sięgnął znowu po trąbkę, i przeciągły dźwięk rogu zagrzmiał po karczemnéj izbie, a śmiech całego towarzystwa zdawał się bydź echem, który długo z biesiadników piersi wylatywał, i obijał się po ścianach.

— Jacy panowie niegrzeczni, mówił Żyd

stojąc na progu, gdy się wszystko już uciszyło; tak, jak burłacy hałasujecie, nikomu nie dacie spokoju! Ta pani, od której utargowałbym kilkaset złotych, krzykiem Waćpaństwa przelękniona, kazała już koni zaprzęgać; i pewnie, nawet ani za owies, ani też za wzięte siano nie zapłaci: ja to wszystko na Waćpaństwa zaliczę rachunek. Fe! a najwięcéj ten pan Michał!

— Ależeś gorący bardzo panie arendarzu, rzekł Michał grzecznie; no, proszę ciebie, czyżmy to umyślnie robimy?

— Jak to umyślnie? zawołał Żyd burzliwiéj cokolwiek, fe! fe! fe! panie Michał! Waćpanowie przez cały rok nie dacie mi tyle utargować, ile ja dzisiaj tracę!

Ależ panie arendarzu; ozwał się znowu Michał, idź do swéj pani, i powiedź jéj, iż ten hałas był pomimo naszych chęci, z reszto, powiedź jéj co zechcesz: albo mów nakoniec, że tu po lesie wszędzie włóczą się rozbójnicy, więc niebezpiecznie jechać po nocy — ona ciebie usłucha i zostanie.

— Fe! pan Michał fe! zakrzyczał Żyd, ośmielony niezwykłą grzecznością swych gości. Ja pana Michałka poskarżę jutro na pana Podstolego, to będzie bardzo brzydko.

— No, no! nie gniewaj się już panie arendarzu; nie będę nigdy trąbić. Zapomnij już o tém — wszak to przeszło. Wiesz co? przynieś lepiéj miodu, to za twoje zdrowie do ostatniéj wydudlim kropli.

— Michałko, jak jaki pan, krzyknął Żyd z szyderstwem, a Michałko tfu! — i splunął. Jutro ja sam, ja pójdę powiem panu Podstolemu, to Michałko bizuny wezmie, ot tu, przy mojéj karczmie!

— Ach ty włoczęgo! złodzieju! Żydzie! krzyknął Michał; i porwał się do uciekającego, który prędko przeskoczył próg i zaryglował drzwi za sobą.

— Otoż to! mówił Michał, jak tylko z nim grzecznie, tak on patrz jak w górę wyrasta! Toż ja ciebie łotrze zgniotę w swych rękach! — Miodu! krzyknął mocno.

W tém, drugiemi bocznemi drzwiami,

wszedł tenże, któregośmy pierwéj widzieli służalec, lecz tą razą skłonił się grzecznie, i przystąpił do ciekawie nań patrzących.

— Czy też nie podejmie się kto z panów, rzekł, przeprowadzić nas przez ten las do pierwszéj karczmy.

— A cóż to? czy wy lękacie się jechać? czy też może i drogi nie znacie? zapytał szlachcic Szczepański.

— Droga tak prosta że trudno zbłądzić, odpowiedział, lecz przedewszystkiém noc ciemna; a jak wiadomo, banda rabusiów włóczy się.

— Musicie mieć dużo pieniędzy; wybąknął Szczepański.

— Albo też młodą i ładną panienkę; dodał Michał.

— Ani jednego, ani też drugiego; odpowiedział spokojnie.

— To ruszajcie, choćby i na kraj świata śmiało! wykrzyknął Michał.

— Więc z panów nikt nie podejmie się? zapytał znowu.

— Nikt, nikt! ozwali się jednogłośnie. — My strudzeni, mówił Michał, nam spoczynek potrzebny! a do pierwszéj za las karczmy, szalonych mil sześć.

— Moja pani należycie za fatygę zapłaci.

— A dawaj mi na godzinę sto złotych to się ani ruszę! zawołał Michał.

Podróżny wyszedł.

— A cóż ty Żydzie! czy nie masz miodu? krzyknął Michał.

— Zaczekajmy cokolwiek, ozwał się szlachcic Szczepański, jeszcze też nie bardzo późno! niech tam wpierw wyprawi swoich gości.

— Szczęśliwa podróż! wrzasnął Michał, usłyszawszy turkot wyjeżdżającego z pod-sienia powozu.

— Wiecie panowie, że cokolwiek za śmiało puścili się w tę stronę lasu; zagadł drugi szlachcic. Bór ciemny — może ich jaki spotkać przypadek.

— Może, może, może! wymruczał przedrzeźniając Michał, wszakże mówił, że ani pie-

niędzy, ani też ładnego nie mają busiaka! a przyznam się, że głupca potrzeba iżby się do starych a jeszcze gołych pokusił gratów.

W tém arendarz przyniosł pożądanego trunku, przy którym długo jeszcze cięli biesiadnicy gawędkę.

VII.

Pamiętamy przecież cokolwiek, że Wacław gdy wyjeżdżał z Podola zostawił córkę jeszcze bardzo małą; dzisiaj Helenka już wiele urosła! dzisiaj, już téj pory dójrzała, w któréj dla dziewicy, staje się nie obcą płeć młodziana. Helenka już rozkwitła! Kwiatek ten atoli, zastawiony bez matki a poruczony opiece osoby, któréj, wiek nie dozwalał szukać promieni słońca z uciech światowych, wyrosł, jak skromny fiołek na łące, wśród trawy, człowieka nie pielęgnowany ręką: nieznana, całe swe życie spędziła w domu; w dnie jednak niedzielne i świąteczne, a których Helenka z niecierpliwością oczekiwała, widzieć ją można

było w kościele, i tam dziewczyna, z roskoszą, chociaż ukradkiem, gdy się tylko chwila wydarzała, spozierała na raźnych chłopaków, lecz męzkiém ognistém okiem, zawsze bywała ukaraną, za swą niewinną śmiałość; w ten czas to, na jéj twarzyczce nagle zapalała się róża, a oczęta, jak do portu zbawczego, obracały się do książeczki, od któréj, gorąca jaka modlitewka nie prędko pozwoliła już je odrywać.

Dziécie to natury, znane w okoliey pod imieniem pięknéj Heleny, z taką pociechą na dni przyszłe życia patrzało, z jaką na dni już ubiegłe; przyszłość albowiem, zdawała się jéj bydź podobną do dni ubiegłych, a które były podobne, do bujnych kwiatów w ogródku, gdy za drasnięciem promieni słonecznych, w obfitéj przepękają rosie. Wieś, i dom w których wzrosła, byli dostatecznemi dla jéj szczęścia, a przechadzkę po za wieś, lub przejazdzkę do kościoła, ceniła dziewczyna wyżéj szczęścia.

Bogdaj to takie szczęście! A gdzież dzisiaj znajdą się tacy, którzyby przestawali na

tém co Helenka, i jeszcze nazwali siebie szczęśliwémi? Dzisiaj, kazden mówi z otwartością serca, że nie ma na świecie szczęścia; zapytany albowiem azali jest szczęśliwym — Nie — odpowie; umywa od szczęścia ręce, wypiera się go, i na kogoś drugiego chociaż sam bardzo potrzebny spędza, a całe życie goni za nićm — I tak: ledwie człowiek poczuje w swéj piersi życie, zaraz marzy o szczęściu nawet żąda bydź szczęśliwym; wznosi się więc i leci — szuka szczęścia, w nie przebyte za nićm brnie miéjsca, z samym losem idzie w zapasy! Nie raz umordowany, że słabémi już skrzydłami, upadnie w bagno, i brudzi się, bród ten późniéj okrywa bogatym ze złota płaszczykiem, i znów wyżéj sięga, wyżéj! wyżéj albowiem, pożądana lśkni się meta; a gdy i téj stanie się już panem, spojrzy w górę, w górze znów jasniéjszy cel z oczy, i po ten sięga śmiało: już i tego jest bliskim, już, już chwyta go rękami; lecz nagle siły go opadają — powie zrospaczony: jestem nieszczęśliwy — i staje się martwą glina, a

ludzie, bracia jego, zedrą już z nieruchomej gliny złoty płaszczyk, stroją się weń, wylatują na tęż drogę, nie pomnąc, że i ich takaż oczekuje kolej!

Helenka była szczęśliwą! Bo i czegoż więcéj potrzeba dla jéj młodzieńczego i nie skażonego serca? Miała towarzystwo z kilku osób z nią ciągle będące, i jéj przyjaźni poświęcone. A ten że miły, wieczorną dobą chłodem przeodziany ogród, gdzie wsród bujnéj trawy, jéj tylko deptanéj stopą, piękne wyrastały kwiaty. A taż, okolona rozłożystémi drzewy sadzawka, przy któréj po skwarnym dniu, roskoszne znajdywała orzeźwienie się. A toż silnie w górę bijące źródło, z którego, bawiąc się, wodę czerpała dłonią, i tą, pieszczone napawała gołąbki; bo przyuczonym siadywać, na jéj białéj szyi, było za mało napoju, jaki dostawali z koralowych usteczek. Czyż potrzeba dla niéj więcéj było, nad te poranne w ogrodzie przechadzki? — Bo też bardzo miłe poranki Podola, i dziewczyna rzadko któren przespała! Często nawet gdy nocna jeszcze nie

opadnie szata, wybiegała do ogrodu, z roskoszą słuchała kwilenia, każdego prawie znanego sobie ptaszka, lubiła patrzyć jak wschód płonął zwolna, i zdroje życia rozlewał w żyły rozkwitającéj ziemi: jak skowronek wzbiwszy się w powietrze, powisł tam, lub niby za skrzydła przybity w gronie bledniejących gwiazd, rozlewa po ziemi dzwięczne swe szczebiotanie, i rozwesela, spotykając śpiewem przebudzającą się naturę; a tam gdzieś makolągwa przelatując po gałązkach, opiewa przyjemności, jakich ma nam dostarczyć lato: lubiła patrzyć, jak na bladym błękicie, majestatycznie wznosi się słońce, zrazu słabe, gdyby zaspane; jak pożniéj, bladą zrzuca szatę, i we wszystko nowém tchnie życiem.

Już piętnasta rozkwitała na licu jéj wiosna, a pierś, jeszcze nie znała westchnień, wydobytych żądzą przemiany losu. Był dzień jéj imienin. — Daleko jeszcze przed świtem wybiegła do ogrodu, zachwycać się pięknością majowéj nocy, a przelatując wązkie, udrapirowane kwieciem ulice, zrywała bogatsze.

Serce jéj chociaż nigdy nie znało śmutku, dzisiaj jednak niewypowiedzianie była uradowaną, i każdemu drzewu, każdéj krzewinie z osóbna, chociaż te znały wszystkie dni jéj życia, wśród ich bowiem wzrosła, powiadała, że dzisiaj piętnastą już spotyka wiosnę. Przy takiém zatrudnieniu, powitało ją słońce, powitała ją para pieszczonych gołąbków; a gdy na zakręcie ulicy kwiliła im dziecinnym głosem o dniu dzisiéjszym, spostrzegła przy sobie młodzieńca, z bukietem dobranych kwiatów — chciała uciekać, lecz mimowolnie na miéjscu została.

— Piękna Heleno; rzekł skromnie i bojaźliwie, nieznajomy; dzisiaj twe imieniny, przyjm więc odemnie w wiązaniu te kwiaty, z życzeniem, iżby dni twego życia, były tak jak ich barwa pogodne.

Helenka spójrzała na bukiet i dawcę, lecz nagle wzrok swój spuściła ku ziemi, i lekki rumieniec olał niewinną twarzyczkę. Niepojętém było dla niéj to spotkanie się w ogrodzie z nieznanym sobie człowiekiem: widywała go ona zawsze w kościele, i rada była, gdy oko

jéj spotka oko młodziana; serce więc jéj na widok pięknéj twarzy, rozpłomienionéj jéj rumieńcem, zdawało się bydź kontente z tego spotkania.

— Nie gardź piękna Heleno, rzekł śmieléj cokolwiek nieznajomy, czystemi memi chęciami; i bądź tego przekonania, że żadna myśl zbrodnicza nie towarzyszy memu podarkowi.

Dla Helenki były obcemi te słowa — nie pojęła ich — milczała, a lekki zadowolnienia uśmiech, przelatywał po twarzy i osiadł na ustach.

— Pan tak rano w ogrodzie, przemówiła nakoniec; zapewne jakie interessa do cioci.

— Co dzień, co ranek, co wieczór, jestem tu; odpowiedział, i tylko dla ciebie, miłe dziécie. Daruj mi iż nie widziany od ciebie, bez twego zezwolenia napawam się niewinnemi twemi zabawkami. Helenko! ja czczę to miéjsce, gdzie twa lekka muśnie stopa, kwiaty, których się dotkniesz swemi rączętami, w które tchniesz swym anielskim oddechem. — Helenko! ja życie moje dawno już poświęcił dla ciebie.

Pierwszy to raz, usłyszała Helenka mowę takiego brzmienia, serce jednak pojęło tę harmonię. Znowu nań milcząc spójrzała, później na bukiet, i znowu swe oko na męzkiéj zatrzymała twarzy.

— Ta wstążka, mówił daléj nieznajomy, którą owiązałem bukiet, należy do ciebie; zgubiłaś ją u altany przed kilką dniami: nie czuję się bydź godnym zatrzymania téj u siebie bez twego zezwolenia — przyjm więc piękna Heleno.

— Pan ją znalazłeś? przemówiła, biorąc uwiązane kwiaty.

Wszystkie w tym bukiecie kwiaty byli jéj dobrze znajome, a teraz zdawały się bydź zupełnie nowémi; przezierała każden z osóbna, i w każdym znajdywała coś takiego, czego pierwéj jéj oko dostrzedz nie mogło.

Milczeli długo oboje, i nie wiém jak długo radziby byli tak pozostać, gdyby od strony domu, Helenka nie usłyszała wezwania: poznała ona głos swéj opiekunki, i już chciała odéjść, lecz młodzieniec nagle chwycił jéj rękę i przemówił ciche:

— Piękna Heleno, czyż pozwalasz mi bywać w ogrodzie.

— Jeżeli pan lubi; odpowie nie śmiało.

— O! dzięki ci drogi aniele! dzięki! zawołał w uniesieniu; i znowu zamilkł, i znowu patrzał milczący. Lecz na wszystko zaklinam cię! dorzucił scicha, nikomu ani wspominaj o naszém spotkaniu się, ty albowiem pozwalasz mi widywać się, a inni zabronią.

—Nie, panie, — odrzekła; ja poproszę cioci, to i ciocia pozwoli.

— O! nie, nie przed ciocią — przed nikim, inaczéj nie ujrzysz więcéj Stefana! Przyrzecz mi że nikomu o tém nie wspomnisz.

— Dobrze; odpowiedziała śmiejąc się.

— Tak, dobrze; powtórzył niezrozumiale: uścisnął jéj rękę i prędko się oddalał; jeszcze się raz obéjrzał, i jeszcze ich oczy spotkały się — nieznajomy skinął ręką, i kłąb bzu cienistego skrył go zupełnie.

— Jaki piękny bukiet ciociu; rzekła, gdy się zeszły; dzisiaj moje imieniny, niech mi więc ciocia swojemi rękami przypnie do sukienki.

Przy zwykłém powinszowaniu miała ten sobie wpięty u białych piersi, i dobra ciocia, ucałowała ją jeszcze w rozpogodzone czoło.

Piękny był bukiet Stefana, — piękniejsze lice Helenki; i śmiało rzec można, że to dziéwcze całe swe życie w wiosny porankach, zrywało kolejno rozpękające się kwiaty, a niewidoma ręka składała je troskliwie i wiązała w bukiet mieszając dobrane kolory; i to tak umiejętnie, tak do pory rwane potrafiła stosować, że dzisiaj, w dniu jéj imienin ten bukiet razem rozkwitł cały, i rozlał swą barwę po nadobném licu.

— Dzisiaj pojedziemy do kościoła, rzekła ciocia, i poprosimy do siebie księdza Proboszcza; zbierz się więc Helenko, bo potrzeba iżbyśmy na ranną mszę przyjechały.

Z jakiémże uniesieniem przyjęła Helenka to oświadczenie. Ona przeczuwała że i Stefan będzie w kościele — że ona jeszcze go dzisiaj tam ujrzy: młodzieniec albowiem, do tyla miłym wydał się jéj w ogrodzie, że teraz ciągle radaby była z nim przybywać. Wszystko to

niewinne dziécie, chciało wypowiedzieć cioci po szczerości ducha, lecz ta prośba Stefana, to zapowiedziane wzbronienie widywania się w ogrodzie, a którego pojąć nie mogła, tkwiły jéj w pamięci i nie pozwalały wyjawić czucia cnotliwego serca.

Minęło trzy miesiące. — Czas ten bystro przeleciał dla Heleny i Stefana. On co dzień w ogrodzie, ona zawsze przy nim; i nic już nie brakło do ich szczęścia! nie było to jednak owe szczęście w którém pierwéj widzieliśmy dziewczynę — Dzisiaj, Stefan kochał, i ją nauczył już kochać: z tém wszystkiém oni bardzo mało potrzebowali dla siebie; dosyć z nich było, gdy ujrzeli siebie, usiedli przy sobie i pomówili z sobą: te atoli warunki stały się bardzo koniecznemi.

Noc była jesienna. — W ogrodzie Heleny cisza głucho się w około rozlała; wiater tylko wstrząsał pożółkłe z drzew liście, i lekko je roznosił po uśpionym zda się chłodem ogrodzie: głęboka ciemność owinęła ziemię, bo prawie żadna gwiazdka nie ukazywała się na obsło-

nioném lekkiemi chmurkami niebie; tylko księżyc brunatny, jakby krwią nalany, kiedy niekiedy wyglądał, i przezierał się w sennym zdroju, siejąc wówczas w około ponure światełko.

Pod starym kasztanem na darni, siedział Stefan zamyślony i patrzył wzdłuż szerokiéj ulicy — siedział długo — i nikt mu jego nie przerywał dumań.

W tém, usłyszał lekki szelest, silniéj wzrok natężył, i ujrzał jak w dali poczęło się coś szarzeć — mrok nocy coraz więcéj roztwierał się — błysnął wreszcie biały punkcik, i powoli zapalając się zbliżał się do oczekującego.

Była to piękna, czarująca w śnieżnéj sukience Helenka, któréj twarz ubarwiona dziecinną niewinnością jaśniała, jakby twarz dziewicy, gdy raz pierwszy wymawia: „*kocham ciebie.*“

Młodzieniec powstał i dziewczyna znalazła się w jego objęciach; lecz z pierwszego pozdrowienia, z pierwszego uścisku poczuła iż jakiś niepokój przygniata serce kochanka, często się

albowiem zasępiało jego czoło, mówiąc, tkliwie spozierał jéj w oczy, i mowę urywał, słowa połykał, i myśli zaczętéj nie kończył.

— Powiedz mój luby, rzekła gdy usiedli, co kryjesz przedemną? jaka chmura twoje myśli powleka.

— Chmura bardzo czarna Heleno! — i zamilkł.

Helena nań spójrzała, a jéj oczy stokroć jaśniéj zaświeciły, niżeli twarz księżyca.

— Dzisiaj rozłączamy się może na zawsze; przemówił po chwili.

— O! Stefanie! ty okrótny! zawołała; a swą głowę skłoniła ku piersi, i oparła na drobnéj dłoni.

— Nie wyrzekaj na mnie Helćuko, rzekł błagającym tonem; wszakże czy to dzisiaj, czyli jutro, a rozłączyć się powinniśmy. — Daruj mi tylko, iż tak długo cię uwodziłem; lecz ja nie winienem, nie chciałem naruszać szczęścia którego nieodzowny przewidywałem koniec. — Dzisiaj, przymuszony jestem wszystko ci odkryć — wyjawić. — Często prawda, zdaleka

napomykałem ci, iż świat nie pozwoli zostawać nam długo razem; — a tyś mnie słuchać nie chciała: dzisiaj, musisz mnie wysłuchać, — dzisiaj, musisz poznać Stefana lepiéj, a skoro go tylko poznasz? wzgardzisz nim, nakoniec i zapomnisz o nim! ja chcę tego. — Masz więc wiedzieć Heleno, iż Stefan którego kochasz, dla którego chcesz siebie poświęcić, jest opuszczony od świata, zapomniany od ludzi! On nie zna ziemi na któréj się urodził, nie zna nawet, kim na ten świat był rzucony. — On nigdy swoich nie widział rodziców! Helenko, Stefan, twój kochanek bez imienia! — Słuchaj mnie daléj; poświęć cierpliwie tych chwil kilka, będą może one dla nas ostatniémi w życiu. — Wzrosłem na Ukrainie, przy boku Atamana; byłem odeń kochany, ponieważ mnie chował jak syna tatarskiego; nigdy nie widziałem od niego, nie znałem najmniéjszych pieszczot, bo ledwie tylko siły dziecinne pozwoliły mi utrzymać pałasz w ręku, jużem był włożony na koń, i zmuszony w téj kołysce długie dni i nocy przebywać! na koniu lato, na koniu zimę witałem.—

Rok minął, gdy pewnego dnia Ataman będąc schorzałym przyzwał mnie do siebie: Stefanie, mówił mi, nie jesteś moim synem, kochałem cię jednak i kocham więcéj jak syna; — nie powinieneś, mówił, znać twoich rodziców, bo cię dla Ukrainy wychowywałem. Chcę, iżby męstwo twoje i siły, hetmaniły kiedyś temu narodowi. — Z temi na ustach słowy skonał.

O! jakże ciężkiém było dla mnie to wyznanie! Jakże mi los okropnym się okazał! Nie znałem od siebie nędzarzy biédniéjszych; każden z nich albowiem miał imie w bogactwie, mnie, i to już od téj chwili odmówioném było. Przeklinałem życie, stroniłem od kolegów, bo zdawało mi się, iż wszyscy niższość mą na mojém czytali czole: wreszcie, przenieść nie mogłem tego upośledzenia, porzuciłem Ukrainę z chęcia, gdziekolwiek bądź, byle nieznany— w pierwsze, które napotkam szeregi wojenne zaciągnąć się i walczyć — zginąć; bo mi życie bardzo ciężyło. — Heleno, w kościele cię spostrzegłem, i o wszystkiém zapomniałem. — W chorągwi Husarzów znalazłem przytułek,

w tobie jedyną pociechę. — Lecz teraz muszę uciekać od ciebie — wszystko już dla nas skończyło się. Twój ojciec powraca, widziałem go wczora — jutro może go powitasz, uściśniesz — w nim wszystko znajdziesz — o mnie zapomnieć musisz. — Zapomniéj o Stefanie!

— Bez litości! — przemówiła płacząc.

Stefan zamilkł, i ona milczała, i wiater gdzieś skrył się. Było cicho jak w grobie, jak w ostatni dzień przed stworzeniem świata.

— Ojciec; rzekła po chwili, Stefanie, mój ojciec tak nie ludzki, iż nas chce rozłączyć! — O! jeżeli tacy ojcowie, to ja ich nie chcę! ja mego nigdy nie widziałam — nie znam — znać nie chcę, a ciebie już nie opuszczę. O! od téj godziny już cię nie odstąpię! byłbyś uciekł i już nie powrócił. Pojedziemy razem Stefanie, daleko, w świat, iżby nas niczyje już nie doścignło oko, iżby nas wola nie rozłączyła ojca.

Stefan milczał. — On pojmował ile winien! Zatruł prawdziwe szczęście niewinnéj dziewczyny, i nie widział środków, za pomocą

których mógłby przełamać zapory, stojące im na drodze szczęścia.

— Więc opuścisz ojca? mówił, i ciocię, która cię tak kocha, i ten dom, i ten ogród, i wszystko opuścisz?

— Wszystko! wszystko, prócz ciebie. Wyrzekła z płaczem.

— Pomyśl Heleno, że jestem biédny, nie mam własnéj chaty, w któréjbyś mogła skłonić znużoną ku spoczynkowi głowę: — ja niczém więcéj prócz jedną miłością darzyć ciebie nie mogę.

— Nie, nie Stefanie; ozwała się pocichu, nie ucieczesz odemnie! gdzie pójdziesz, wszędzie z tobą; okrutny! i tyś mnie chciał porzucić? daremnie, daremnie! — i chwyciła go w pół, i przylgnęła do milczącego.

Księżyc już krótką miał do zachodu drogę, a Stefan nie czuł siły rozłączyć się i nie wiedział co począć. Lecz nagle jakaś zbawcza myśl błysnęła mu w skołatanéj głowie, spójrzał wesoło na Helenkę, chwycił jéj rękę i do piersi przycisnął.

— Dobrze, pojedziemy Helenko! przemówił, pojedziemy na Ukrainę, tam nas z radością przyjmą; tam, może teraz będziem szczęśliwi.

— O! będziemy szczęśliwi! zawołała.

— Dzień nastaje, mogą nas wyśledzić — koń czeka.

— A więc prędzéj uciekajmy! prędzéj Stefanie!

Rychło ujrzeli się na drugiéj stronie ogrodu. — Stefan owinął ją w kozaczą burkę, dosiadł niecierpliwiącego się Ukrainca, umieścił naprzód siebie śmiejące się dziewcze, i popędził się szerokim przez las gościńcem.

Droga stawała się coraz węższą, a las był coraz gęstszy; ciemność ich okrążyła: — las za niemi, las przed niemi, i las nad niemi; bo szerokie a czarne dębów gałęzie, zakryły nad niemi niebo. Ona drżała przelękniona — ale z jakim zapałem tulił ją do swych piersi Stefan! z jaką siłą gniotł nogą ziobra rumaka, pędzonego wiatru falą, którego lekkie kopyta, ledwie ziemi dotykały! Patrzył na nią, i nic

więcéj nie widział, — żądał tylko, gdyby tak biedz, biedz aż do końca świata — gdy się świat skończy, biedz daléj i daléj.

W tém, nagle w ciemnéj gęstwinie cóś błysnęło, i strzał rozległ się; echo go kilka kroć powtórzyło.

Acz niespodziewany był to raz dla Stefana, nie ulękł się go jednak; silniéj ubodł ukraińca, i ten prędszym popędził cwałem. Strzał drugi i trzeci rozległ się znowu, a Stefan ujął mocniéj Helenkę i daléj pędził. — Znowu zagrzmiała strzelba, i koń jego w całym pędzie przypadł do ziemi.

Zerwał się Stefan trzymając drogi skarb w ręku, wspomniał że żadnéj nie ma przy sobie broni, skoczył więc między drzewa, i chciał skryć się korzystając z cieniów nocy, lecz uczuł ból w zranionéj na polowaniu nodze; i razem został obskoczony zgrają ludzi.

— Czego żądacie? krzyknął, łotry! nic więcéj prócz życia nie mamy.

— Co za śmiałek? ozwał się jeden. Czyż

chciałeś tak prędko uwolnić się od nas? — Kto jesteś?

— Jestem człowiek, odpowie śmiało, i nic ze mnie nie skorzystacie!

— Obaczymy; przemówił znowu tenże. — A ja cię miałem za szatana. Przecież nie sam jesteś, dwóch was na jednym leciało koniu.

— Puśćcie nas, miéjcie litość! krzyknął Stefan.

— A! ptaszku! odezwał się drugi, nie tak prędko. U lichażbo! wszak to masz z sobą kobiétę? O! to najpewniéj siostra! Ale bo coś tak przylgnęła do twych piersi, że ani się jéj przypatrzyć. — Pokażno się nam dziéweczko.

— Łotry! krzyknął Stefan — i zamilkł.

— Hola! hola! panie, waszecie, czy jak sobie tam zechcesz? nie krzycz tak bardzo; ozwał się pierwszy; nikt cię tu ratować nie przybieży. — Poświećno Bujniaku; musimyż przecie obaczyć kto w naszych rękach.

W tém, rozległ się strzał przy uchu Stefana, i ujrzeli się wzajemnie.

— Nie lękaj się tak bardzo kochana; przemówił pierwszy, nie chowaj swą ładną twarzyczkę.

— Gdzie jesteśmy Stefanie? zapytała cicho.

— W ręku zbójców! krzyknął z boleścią.

— Zbójców? powtórzyła, i znowu tuliła się do jego piersi.

— Co? zbójców? podchwycił pierwszy, jeszcze nas przezywają; widzisz go! ach ty Lachu! Rozłączyć ich.

Na ten rozkaz rzuciła się zgraja łotrów, i pomimo usiłowań i wyrzekań Stefana, pomimo płaczu i jęków Heleny, zostali rozłączeni.

Wyobraźmy sobie męczarnie Stefana! owego młodego Husarza, któregośmy na myśliwskiéj u Podstolego widzieli biesiadzie; (mniemam albowiem żeście go już dawno poznali) a którego teraz jako złoczyńcę skrępowano więzami. — Nie ma dlań wybawczéj dłoni — musi patrzyć na swój najdroższy skarb, Helenkę,

zostający w ręku ludzi nieznających litości, patrzyć i cierpieć; bo w którą stronę spójrzy, wszędzie ciemność, grób — spójrzy w górę, w niebo, i niebo czarne, i niebo pokryte chmurami.

VIII.

Długo Stefan i Helena prowadzeni byli przez skały i dzikie miéjsca — a dzień już dawno zajaśniał. Z rospaczą patrzył młodzieniec, jak osłabioną, wysiłoną płaczem porwała hałastra, i niesła na ręku — on patrzył, i słyszał zwierzęce ich śmiechy szydzące z jego rospaczy; którzy dla większego udręczenia, czy też dla własnéj rozrywki, prawili Helence rozpustą tchnące a przeciwne cnocie wyrazy, chociaż tych dusza jéj czysta jeszcze nie pojmowała.

Ujrzeli się przecież na otwartém powietrzu; ujrzeli słońce w mgłych przynajmniéj co się przedzierały przez gęste gałęzie promieniach. Jeszcze kilka przeszli parowów, jeszcze jedną

wązką i stromą ścieżkę skałą przepełzli, i znaleźli się w miejscu, gdzie głuchy szum Bohu, trwożąc echo sąsiednich gór, potrząsał twardemi swemi brzegami, rozmiatając po woli wiatrów, mokre, błyszczące włosy. Pieniła się, burzyła woda, jakby chciała przebić z granitu podnoże, które najeżywszy piorunami opaloną pierś, rzucało białe, pieniste fale. Okropnie, jak lew spostrzegłszy tygrysa wrzeszczeli bałwany, spadali przez mglistą zasłonę rozbryzganego żywiołu, sięgali zimnych piersi podnoża, i wilgotnym pocałunkiem zerwawszy część jego rumieńca, z jękiem, jakby skaleczone żądłem skorpiona, posuwają się wprzód, znów opadają, gasną, znowu się szerokiém wzbierają kołem, i znów śmiałe, znów wściekłe, mgną po kryształowéj powierzchni. — Biada! o! biada człowiekowi, jeśli zaufa sobie, alboli też silnym lędźwiom konia, i puści się wpław przez rozdąsane bałwany! Biada i temu śmiałkowi, który ogiąwszy się ziobrami wątłéj łodzi, zechciałby pojmać sędziwego, mchem już porosłego karpia! — pamięć tylko ta zostanie że

zginął. — Strasznie burzyła się woda! a dziewiczy las, długo może już nie tknięty siekierą wyrobnika, kolebka ptaków i żwierzy uciekających od ludzi, ciągnie się jednym i drugim brzegami rzeki.

Na zawieszonym prawie nad wodą wzgórku, wolnym od ciężaru dębiny, i pokrytym zieloną murawą, siedziało dwóch ludzi, z któremi przewitali się nasi nocni znajomi; i jeden na pewien znak, śmiejąc się zmierzył okiem Stefana i Helenkę, i zeszedł w dół ku wodzie. — Niebawnie wrócił, oznajmił w głos że wszystko już urządzono; po czém, w tęż stronę sprowadzono nieszczęśliwych kochanków.

Jakby w paszczę piekła spuszczali się zwolna w czarną, okopconą z granitu norę; gdy nagle coś zaskrzypiało, i Stefan był wpchnięty daleko w głąb: nie pojął jeszcze swego przeznaczenia, a usłyszał zapadłe drzwi za sobą i szyderski śmiech za niémi.

— Ty Lachu, przemówił jakiś, będziesz tu siedział; z czasem, zapłacisz dobrze za siebie; a twoją siostrę umieścimy w wygo-

dniéjszém miéjscu. Nieprawdaż Bujniaku? ta wczorajsza pani musi się szkaradnie sama nudzić — damy jéj na godzin kilka towarzyszkę; a potém, i dla nas się przyda.

Stefan słyszał te słowa, poźniéj krzyk Heleny, poźniéj głuche powracających stąpanie — a poźniéj wszystko ucichło. Oparł się o skałę i ciężko jęczał.

— Jesteś więc nowa ofiaro, wyleciał słaby głos, z drugiego końca więzienia; nieszczęśliwy! w najsroższych zginiesz tu męczarniach! ja dla cię stanę się pokarmem, bo jestem już bardzo słaby — przeżyjesz mnie.

Stefan nie przelękł się tego złowieszczego i grobowego głosu, a nie odzywał się — bo mu sił zabrakło.

— Schwycili mnie, dał się znowu słyszeć głos, kazali mi bym wskazał za okup swój skarby; wskazałem, i wolny nie jestem! ginę z głodu. Człowieku, przystąp i odetchnij przy mnie świeżém które masz w piersiach powietrzem.

Stefan milczał.

— O! długo już bardzo, jak tu w dzikiéj norze, depcę wilgotny kamień! Długo już jak ma zwiędła skroń nie czuła rosy przyjaznego tchnienia! Długo już bardzo jak w méj wyschłéj ręce, przyjacielski wypoczywał uścisk! Długo me płuca pokarmu nie znają, którymbym martwą mógł ożywić duszę! Długo już jak me oko promieni lubego nie widziało słońca! Długo bardzo! A ty bez litości, dzisiaj dopiero jesteś tego wszystkiego pozbawiony, i odmawiasz mi swego oddechu!

Stefan słuchał, i milczał, i nie ruszał się, jakiś dreszcz członki jego przeszył, gdy wspomniał na takąż swego losu koléj; poczuł zawrót głowy — ciężko mu się zrobiło — i usnął. Gdy się przebudził, usłyszał gwałtowny jakiś oddech, ten zwolna słabiał, późniéj jęki konającego, a późniéj wszystko ucichło. Zruszył się, poszedł w to miéjsce zkąd jęki wylatywały, i upadł na ciało zimne, ale jeszcze drgające. Wkrótce potém, dolatywały go głuche przerażające krzyki; przysłuchiwał się pilnie i nic z tego jeszcze pojąć nie mógł, gdy nagle

drzwi jego więzienia rozwarły się, i ujrzał bezprzytomnie biegącego doń zbójcę; zebrał więc wszystkie siły, zwarł się z nim, i cisnął go o ziemię; ten zaś niespodziewanym napadem tak został ogłuszony, iż zapomniał o orężu, chwycił tylko Stefana za ramie i silną ręka obnażył piersi z odzieży. Długo obaj targali się;—ośmielony w końcu niebezpieczeństwem Stefan, z nową nań napadł zapalczywością, zgniótł go, przydeptał mu szyję, wyciągnął z za pasa długi nóż, i zatopił go w piersiach, z których czarna krew lunęła: następnie śmielszy, odjął u martwego pistolety, opatrzył i znalazł je nie wystrzelone. Nie myślał długo, i postanowił, jak kolwiek-bądź a wydobyć się za pomocą sił swoich; rychło też znalazł się u drzwi, lecz tu nowa zapora, ujrzał przed sobą okrwawionych złoczyńców; silna między niemi wszczęła się walka, krew własna i wrogów bryzgała i zalała mu oczy, w jedną więc i drugą stronę na oślep gęste sypał cięcia, wreszcie, ujrzał się wolnym: nie nadługo jednak, bo ledwie zdołał przetrzeć z krwi oczy, spostrzegł wściekle pędzącego

w środek nory; zmierzył się doń pistoletem i ten upadł z ciężkim na ziemię jękiem.

— A więc cię nigdy już moja nie obaczę córko! krzyknął.

— Ha! zawołał Stefan, Łotrze! masz córkę, a nie miałeś litości! nie przepuściłeś niewinnym łzom!

— O! Boże! tyś sprawiedliwy! wymówił cicho, uwolń moję córkę! ona niewinna! Heleno! Heleno!.....

Témi słowy, jakby gromem Stefan porażony, przetarł co najprędzéj krwią zalane oczy, zbliżył się do wyrzekającego, i poznał w nim Wacława Norsztyna. Wybiegł bystro na wolne powietrze, i rychło został okolony ludźmi uzbrojonymi, a z któremi tak niedawno na polowaniu się widział; jeszcze nie przyszedł do siebie, i znalazł się w objęciach Heleny.

Okrążyli go z radością zwycięzcy; czas jednak, nie pozwalał długo tak pozostać; Helena otarła mu krwią zbryzgane i zranione piersi, a on wszystkim wskazał ubitego Norsztyna.

— Jam go zabił, rzekł ponuro — mylnie wziąłem go za zbójcę.

Próżne były wszystkich starania; Wacław ugodzony w piersi, dawno wyzionął ducha; a gdy go wynosili służalcy, Michał, ów dworak którego widzieliśmy w karczmie Podstolego, mówił do płaczącéj na skale kobiéty.

— Czego pani płaczesz? wszakże już wszystko przeszło! A któż temu z resztą winien, jeżeli nie lokaj pani? Czemuż okazał się dla nas do tyla gburem i niegrzecznym? Gdyby zechciał był bliżéj się ze mną zaznajomić, więc nie krzyczelibyśmy, i pani spokojniebyś sobie w karczmie przespała.

Płacząca, była to Olimpia. Razem w jedném miéjscu z Heleną zamknięte, słyszała całą historyę życia Stefana, a gdy obnażoną i okrwawioną pierś jego ocierano, Olimpia ujrzała medalion, na którym było wyobrażenie jéj i Ryszarda. — Poznała ten medalion; poznała rodzime jakie miał na szyi znamie: — ona w Stefanie, poznała swego syna Ryszarda,

którego dziécięciem z rąk własnych, gdy była w letargicznem uspieniu skradziono.

Śmierć Norsztyna, przypisano nieodzownéj woli Boga; po czém wszyscy opuścili to miéjsce, a został tylko Michał i kilku innych śmiałków. Ci przeburzyli wszystkie w skałach kryjówki, i wiele znaleźli ludzi nieżywych, znaleźli także wiele skarbów w złocie, srébrze, perłach i drogich kamieniach, które pobrali sobie i byli bardzo bogatymi.

Jeszczem był mały, gdym słyszał tę powieść z ust starego pasiecznika Piotra — prawił mi ją przez pół dnia — Gdy skończył, zapytałem: Co robili Norsztyn i Michał z uzbrojonémi ludźmi w jaskini zbójców? — odpowiedział mi tak:

W téj nocy, kiedy Stefan i Helena wyjeżdżali kryjomo, ogrodnikowi tamtejszemu nie chciało się spać, wyszedł więc do ogrodu, i mówił pacierze; wtenczas to usłyszał, jak kochankowie przebrali się za ogród — i pojechali. Przestraszony, dał więc co najprędzéj znać do dworu, zkąd za niémi wyprawiono pogoń;

gońce atoli, usłyszawszy w lesie strzelbę, powrócili z niczém. Wiedziano już że Norsztyn był zatrzymany u Podstolego — posłano więc doń z tą wiadomością; ten zaś nie bawiąc, rychło zebrał za dobrą płacę służalców Podstolego i z sąsiednich wsiów junaków, i ruszył z niémi na obławę zbójców, a czy szczęśliwie dokonał, kazał, bym o tém sądził. Dodał tylko kończąc, że rok jeszcze od tego nie minął czasu, a on był na weselu Stefana i Heleny, na którém jadł dobrze i pił należycie.

KONIEC.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A5977 | 2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki